MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XI. Nr. 3. WARSZAWA, 18 STYCZNIA 1931 R. CENA NUMERU 80 GR.

NIECO UWAG O KRYZYSIE

Opinja publiczna, jak się zdaje, dopiero w ostatnich tygodniach została naprawdę zaalarmowana ciężkiem położeniem gospodarczem, w jakiem się znajdujemy. Skromnie obchodzone święta wskazują, że poszczególni obywatele ściągają mocniej pasy; jest to pierwszy i naturalny objaw defensywy, co się jednak dzieje z ofensywą, z czynnem zaatakowaniem wroga i wywalczeniem lepszych warunków bytowania? Tu naturalnie wzrok obywatela zwraca się najpierw w stronę państwa, jako zorganizowanego wyrazu zbiorowości. Co przedsiębierze państwo?

Jeżeli weźmiemy pod uwagę najpierw gospodarkę samego państwa, budżet, który teraz właśnie jest przez sejm przeglądany, nie daje on bynajmniej dowodu na to, że państwo rozpoczęło nawet tę czynność defensywną, jaką już z musu praktykują obywatele. Preliminarz wydatków nie zapowiada zaciśnięcia pasa w jakiejkolwiek dziedzinie. Rząd zamierza wycisnąć ze społeczeństwa i wydatkować sumy nie mniejsze, niż w latach poprzednich. Mówi się przytem, że w naszym budżecie tak znaczna część wydatków — to wydatki „opancerzone", że wobec tego nie może być mowy o jakiejś wydatniejszej oszczędności. Tymczasem przyjdzie niewątpliwie moment, kiedy będzie się trzeba zabrać i do owego „pancerza", bo inaczej gotów on sam pod naporem konieczności pęknąć, wywołując, jak każda nieprzewidziana katastrofa, chaos i olbrzymie zniszczenia. Zamiast więc fatalistycznego uznawania nienaruszalności wydatków opancerzonych, należy jaknajprędzej przejąć się zasadą, że z wyjątkiem wydatków na obronę kraju, każdy inny wydatek jest dla nas zbyt duży i do tego dostosować gospodarkę państwową.

Polska czeka wciąż jeszcze na swego Colberta, t. zn. na męża stanu, który z dalekim wzrokiem łączyłby bezwzględną, mieszczańską twardość w obchodzeniu się z groszem i potrafiłby założyć skuteczne *veto* przeciwko niejednokrotnie potrzebnym, często nęcącym przedsiębiorstwom, z któremi trzeba jednak się wstrzymać, gdyż zakreślone ponad miarę sił finansowych załamią się i tak wpół drogi. Zamiast tego zmysłu mieszczańskiego, na którym wyrosły finansowo wszystkie potęgi świata, rządzi u nas (często dosłownie) cyganerja, nie tyle artystyczna, ile rozwichrzona, której nie brak pomysłów do wydawania, ale której gospodarka zawsze zaczyna się i kończy głodem na poddaszu. Temu to kierunkowi mamy do zawdzięczenia owe paradoksy, na które niedawno zwracał uwagę p. Marjan Kiniorski, wspaniałe gmachy rządowe, czy samorządowe na tle lichych chałup po zapadłych mieścinach kresowych, piękne dworce kolejowe, goszczące kilkunastu pasażerów na dobę. W większych miastach, gdzie ludność uboga gnieździ się w warunkach, urągających minimalnym ludzkim wymogom, po kilkanaście nieraz osób różnej płci w jednej izbie, powstają w tych samych dzielnicach szkoły-pałace z pływalniami, i to właśnie w czasie, kiedy wszyscy znający te sprawy przewidują w najbliższych latach kryzys szkolnictwa z powodu braku lokali szkolnych, kiedy więc należy budować skromnie, a za to wiele! Hasło radosnej twórczości przechodzi w tych warunkach w jakąś bezsensowną tromtadrację, usiłującą wmówić społeczeństwu, iż ma być dumne np. z tego, że postawiliśmy wspaniały gmach szkolny tam, gdzie Niemcy zadowalali się zwykłą chałupą wiejską. „Reprezentacja" stała się bodaj najważniejszą funkcją państwową, mamy reprezentacyjne dzielnice, reprezentacyjne ulice, a na budowę i przebudowę reprezentacyjnych pałaców i zamków idą rocznie dziesiątki miljonów.

Nic nie wskazuje na to, żeby ten kierunek miał ulec zmianie, trzeba się więc liczyć z tem, że gospodarka państwowa dalej będzie w tym sensie rozrzutna.

O ile chodzi o aktywną walkę z fatalnemi warunkami gospodarczemi, to do ostatnich czasów rząd, egzekutywa społeczeństwa, zachowywał się prawie zupełnie biernie, zaznaczając przy wielu sposobnościach, że kryzys jest ogólny, światowy, i powołując się na to, jako na okoliczność łagodzącą i usprawiedliwiającą. W ostatnich czasach zapowiedziano ze strony rządu ożywienie działalności, mianowicie w kierunku obniżenia cen wyrobów przemysłowych, co ma automatycznie ożywić popyt na te wyroby i w ten sposób zmniejszyć bezrobocie. Nie wiem, czy kto przywiązuje większe nadzieje do tej zapowiedzianej działalności rządu, zarówno co do osiągnięcia zniżki cen, jak i ożywienia wymiany. Godzi się zaznaczyć, że dotychczas rząd szedł w kierunku przeciwnym: podwyższano ceny lub zgadzano się na te podwyżki czasem w celu umożliwienia eksportu, jak bywało z węglem i cukrem, czasem znów w celach czysto fiskalnych, jak z wyrobami monopolowemi. W przeważnej liczbie wypadków dało to korzyści bardzo wątpliwe, z czego nie wynika jednak bynajmniej, że polityka odwrotna uwieńczona będzie powodzeniem. Przypuszczać należy raczej, że o ile chodzi o doraźne, chwilowe ulżenie sytuacji, oszczędność i zwolnienie śruby podatkowej dałyby większe korzyści.

Przytaczanie faktu, że kryzys gospodarczy dotknął nie tylko nas, lecz rozciąga się na cały świat, usposabia do bierności, i staje się przeszkodą w szukaniu dróg, któreby — chociażby po dłuższym czasie — wyprowadziły z matni. Kryzys na całym świecie nie jest bynajmniej zjawiskiem całkowicie jednolitym, niektóre kraje odczuwają go silniej, inne mniej, a niektóre nawet, jak dotychczas, mają się wcale dobrze. Do tych ostatnich należy przedewszystkiem Francja i warto się przypatrzeć temu, co ją od innych krajów odróżnia i czemu zawdzięcza swoją pomyślność.

Wbrew temu, co się stało w innych krajach Zachodu, całkowicie zindustrjalizowanych, Francja zachowała równowagę pomiędzy przemysłem i rolnictwem, między wsią i miastem; kryzys przemysłowy nie dotknął jej więc w tym stopniu, co np. Anglję. Dalej przemysł francuski—to w olbrzymiej większości drobne pracownie, nie zaś wielkie fabryki. Wreszcie Francja jest i stara się być po dawnemu krajem drobnych rentjerów: po dorobieniu się niewielkiej renty, wielu Francuzów klasy średniej wycofuje się z interesów, pozostawiając innym wolne pole do pracy zarobkowej i wzmagając szeregi oszczędnych wprawdzie, ale bądź co bądź konsumentów. Do tego trzeba oczywiście dodać niesłychaną pracowitość Francuzów, czem przewyższają zarówno swoich wschodnich, jak i północno-zachodnich sąsiadów.

Te właściwości ustroju i usposobienia francuskiego grają niewątpliwie nie małą rolę w tem zjawisku, iż Francja, mimo wyniszczenia wojennego i olbrzymiego wprost upustu młodej krwi, tak zwycięsko opiera się kryzysowi, ogarniającemu nawet młodą i zdawałoby się nieposkromioną w swoim rozpędzie Amerykę. I jeżeli mamy szukać wzorów, mających nas uchronić przed upadkiem gospodarczym, to chyba tę strukturę powinniśmy naśladować.

Mimo że posiadamy nietylko ministerstwo rolnictwa, ale i osobne ministerstwo reform rolnych, w sprawie rolnej panuje u nas właściwie zastój. Żyjemy tak, jak gdyby nie stało przed nami kolosalne zagadnienie zapewnienia krajowi samowystarczalności żywnościowej, dostarczenia ważniejszych surowców, między innemi włókienniczych, i pomieszczenia wzrastającej ludności wiejskiej, dla której dotychczasowe drogi emigracyjne coraz się zamykają, a wątpliwe warunki rozwoju wielkiego przemysłu uniemożliwiają odpływ do centrów fabrycznych. Nie widać pracy nad rozwiązaniem tego problematu i nad postawieniem jasnego programu, a oczywiście samo się to nie zrobi, sama z siebie może przyjść tylko katastrofa.

Na czele ministerstwa przemysłu i handlu stał przez kilka lat człowiek, olśniony przez t. zw. wielki przemysł i pragnący ten przemysł postawić na nogi i ruszyć na podbój rynków świata. Nie jedną w zdążaniu do tego celu ofiarę nałożono społeczeństwu, lecz rezultat jest raczej żałosny. Nawet stary, zdawna urządzony przemysł włókienniczy nie tylko obcych rynków nie zdobył, ale i nie utrzymał wewnętrznego, a dziś, pomimo olbrzymich środków, danych mu ze skarbu państwa w czasach inflacyjnych, bankrutuje w osobach swych największych przedstawicieli. Przez ten czas zaniedbano zupełnie rzemiosło, ten właśnie drobny przemysł, który w rękach Francuzów okazał się tak niezwyciężony w zapasach konkurencyjnych. W działalności dotychczasowej stawialiśmy na t. zw. racjonalizację i automatyzację, to jest na właściwości, w których muszą nas pobić starsza organizacja i tańszy kapitał; Francuzi stawiają ma indywidualną wartość pracownika i produktu i wygrywają. Jeden z wybitnych uczonych angielskich, p. Bragg, pisząc o kryzysie obecnym, mówi, że nie należy rozpaczać, Anglja bowiem była już raz w podobnem położeniu w końcu XVIII wieku, a wówczas przyszedł wynalazek maszyny parowej i zamienił rozpaczliwą sytuację na pełną nadziei, przyniósł Anglji niesłychane wzbogacenie się. Trzeba wierzyć, że dar twórczy ludzkości nie zaginął i znowu się coś podobnego powtórzy. Niewątpliwie jest w tem część prawdy, i kryzys obecny byłby o wiele jeszcze gorszy, gdyby np. nie powstanie samochodu, radja itp., które to wynalazki powołały do życia całkiem nowe, a potężne przemysły. Nie powtórzy się już jednak nigdy dla nikogo to, co miała Anglja w końcu XVIII wieku, mianowicie cały świat, stojący otworem dla jej wyrobów. Nie bierze się atoli tego pod uwagę, że właśnie w przemyśle drobnym, w rzemiośle dzieją się nieustannie rzeczy nowe, bo każdy wytwór jest inny, wyposażony w takie lub owakie cechy, nadane mu przez inwencję pracownika i wyroby te znajdują zbyt i zwyciężają, gdy standardyzowany, tani i szablonowy produkt zracjonalizowanego przemysłu miljonami pozostaje na składzie. Te właśnie nowe rzeczy, o które modli się prof. Bragg dla przemysłu angielskiego, realizuje codzień francuski *„artisan"*; naśladują go potem Niemcy i reprodukują „seryjnie" jego pomysły, ale to mu już wiele nie szkodzi, bo na nowy sezon wymyśli on coś nowego. To też żyje, mimo konkurencji wielkich fabryk, dobrze, a zgromadziwszy rentę, łowi sobie spokojnie na starość ryby w Sekwanie, lub gra w manillę w *„Café de Commerce"*. Napisane to żartobliwie, ale sprawa jest całkiem serjo i uznana dawno w ekonomji: ostanie się drobnego przemysłu francuskiego jest dowodem zwycięstwa inteligencji i pomysłowości nad automatyzmem i szablonem. Kiedyż uznamy tę prawdę i zastosujemy do niej swe postępowanie? Nie zanosi się na

to tembardziej, że nasi obecni kierownicy tych spraw, to ludzie ze szkoły socjalistycznej, schodzącej się w poglądach na organizację wytwórczości z wielkimi kapitalistami.

Trzecia z wymienionych wyżej właściwości francuskich, owo zamiłowanie, czy pociąg do rentjerstwa, była w innych, zwłaszcza anglosaskich krajach krytykowana surowo, jako odciągająca od produkcji (nowoczesny fetysz) wiele zdolnych jeszcze do pracy sił. Dzisiaj, kiedy w Ameryce myślą o wprowadzeniu pięciu dni pracy w tygodniu, może już krytyka nie byłaby tak surowa, ale jeszcze nie dopatrzono się w tem cennej skłonności moralnej, ograniczającej panującą gdzieindziej niepodzielnie gonitwę za pieniądzem, i skłaniającej ludzi do poprzestawania na skromnej chociażby niezależności i urządzenia życia według upodobań. Od wielu lat inna ewangelja zdobyła w świecie przewagę, lecz doprowadziła do położenia bez wyjścia. I zwalczenie kryzysu materjalnego nie w najmniejszej mierze zależy od przywrócenia należytego miejsca poniewieranym od pewnego czasu duchowym pierwiastkom w życiu.

ZYGMUNT RACZKOWSKI

ODKĄD POLSKA JEST PAŃSTWEM NIEPODLEGŁEM?

(KARTA Z DZIEJÓW POLSKI)

(Dokończenie)

RZĄD Świeżyńskiego miał od początku charakter rządu przejściowego, albowiem powstał z woli trzech głównych stronnictw polskich, które początkowo postanowiły były wziąć udział w utworzeniu rządu koalicyjnego, z powodu jednak uchylenia się „tymczasowego“ w ostatniej chwili dwóch stronnictw (ludowego i P. P. S.) był złożony narazie tylko z czterech narodowych demokratów, kilku „bezpartyjnych“ (Wład. Grabski, Antoni Minkiewicz, Wacław Paszkowski, Englich) i dwóch mężów zaufania rady regencyjnej (Ponikowski i Higersberger). Celem uzupełnienia gabinetu przedstawicielami innych stronnictw i przekształcenia go w koalicyjny prowadzono nadal poufne narady. Stosunek gabinetu do rady regencyjnej był z natury rzeczy chłodny, albowiem rada regencyjna nie mogła przeboleć ani marzeń o koronie dla jednego ze swoich członków, ani zepchnięcia swego z roli czynnika rządzącego do biernej roli formalnej tylko „władzy najwyższej“, ani narzucenia jej przez stronnictwa osoby premjera Świeżyńskiego w miejsce jej męża zaufania J. Radziwiłła, ani przytyku o hańbiącej odpowiedzi b. rządu Steczkowskiego na manifest koalicji zachodniej o przywróceniu zjednoczonej i niepodległej Polski. Już w chwili objęcia rządów przez nowy gabinet wystąpił na jaw brak zaufania rządu do rady regencyjnej w tem, że członkowie rządu odmówili formalnej przysięgi w ręce rady regencyjnej i jedynie dla „formy" podpisali przedłożony im formularz ślubowania. Rząd starał się o jaknajszybsze uwolnienie z Magdeburga Józefa Piłsudskiego, który jako minister spraw wojskowych był zadatkiem rozszerzenia i uzupełnienia gabinetu. Na *urgens* prezesa gabinetu Świeżyńskiego do kanclerza Rzeszy Maksa badeńskiego nadszedł od tegoż obszerny telegram (*vide* „Kurj. Warsz." z 1 listopada nr. 302), żądający wpierw zapewnienia, że Piłsudski porzuci wrogie stanowisko wobec władzy okupacyjnej. Tymczasem mnożyły się intrygi przeciw rządowi, zarówno ze strony członków rady regencyjnej, jak „aktywistów" oraz „piłsudczyków". Jeden z członków rady regencyjnej głośno wygrażał rządowi w warszawskim Klubie myśliwskim, że rozpędzić każe rząd zapomocą wojska (*„Wehrmacht"*). Wiec zjednoczenia stronnictw demokratycznych (Supiński, Patek, Radwan, Rogowicz) oświadczył się przeciw rządowi, domagając się rządu o większości demokratyczno-ludowej. Gdy na wniosek rządu rada regencyjna podpisała 28 października ustawę tymczasową o powszechnym obowiązku służby wojskowej i wydała dekret, polecający niezwłoczne przystąpienie do formowania armji narodowej, pułkownik Rydz Śmigły odmówił współpracownictwa z rządem w sprawie organizacji armji polskiej, a zjazd polskiego stronnictwa ludowego odmówił rządowi zaufania, oświadczając się przeciw poborowi do wojska, nawet ochotniczemu, jako bezprawiu i domagając się wywłaszczenia majątków powyżej 300 morgów, skonfiskowania majoratów i t. d. Stronnictwo socjalistyczne znowu nie chciało się pogodzić z pozostaniem rady regencyjnej u steru, znienawidzonej przez szerokie koła ludowe i domagało się zupełnego jej usunięcia.

W takich warunkach należało przyśpieszyć porozumienie między stronnictwami. Było ono napozór łatwiejsze, niż poprzednio, ponieważ zbliżał się już termin rozpisania wyborów do sejmu, a rząd otrzymał już projekt ordynacji wyborczej, opracowany przez Biuro Pracy Społecznej. Przy sposobności mego pobytu we Lwowie dnia 30 października 1918 r. porozumiałem się z bawiącym tam przywódcą stronnictwa ludowego Witosem, który zgodził się wstąpić do rządu wraz z trzema członkami swego stronnictwa. Po moim powrocie do Warszawy odbyło się posiedzenie rady ministrów, na którem uchwalono wysłać na odsiecz Lwowa, okupowanego przez Austrjaków i „Ukraińców“, pociąg wojskowy z bronią i 800 żołnierzami, zgodnie z oświadczeniem szefa sztabu Tadeusza Rozwadowskiego; przyjęto do wiadomości, że komisarz jeneralny Zdanowski przejął od gubernatora lubelskiego całą administrację w okupacji i zarządził zaprzysiężenie wojska polskiego i urzędników oraz usunięcie godeł austrjackich i zastąpienie ich godłami polskiemi, przyjęto do wiadomości, że w dniu 31 października generał Bolesław Roja, mianowany przez komisję likwidacyjną w Krakowie komendantem brygady, z dniem tym objął komendę w Krakowie, odebrał od władz wojskowych austrjackich, które podpisały protokół kapitulacyjny, broń, amunicję i cały rynsztunek wojskowy, usunął siły austrjackie i rozbroił jeden bataljon niemiecki, który nie chciał się poddać, równocześnie zaś komisja likwidacyjna odebrała przysięgę od szefów władz wojskowych; przyjęto do wiadomości, że w dniu

1 listopada, rozkazem szefa sztabu polskiego Rozwadowskiego, naczelne dowództwo wojskowe zatrzymał jenerał dywizji Puchalski, komendantem w obrębie korpusu krakowskiego został Roja, dla Lwowa zaś hr. Lamezan. Następnie minister spraw wewnętrznych Zygmunt Chrzanowski przedstawił sytuację wewnętrzną w ciemnych barwach i zawiadomił, że stronnictwo socjalistyczne i zwolennicy Piłsudskiego objawili gotowość wstąpienia do rządu tylko pod warunkiem zupełnego zerwania z radą regencyjną i oparcia nowego rządu narodowego na niezależnej reprezentacji narodowej aż do czasu zwołania sejmu ustawodawczego. Minister Chrzanowski uważał za rzecz naglącą w danej sytuacji, aby rząd uchwalił gotowość ustąpienia na rzecz koalicyjnego rządu narodowego i ogłosił swą decyzję w formie odezwy, ułożonej poprzednio przez ministra w porozumieniu z przywódcami socjalistycznymi. Odezwa ta brzmiała:

„Polacy! W obliczu najwyższych zadań, jakie przed narodem polskim postawiła chwila dziejowa, w poczuciu odpowiedzialności przed narodem i historją, dzisiejszy Rząd Polski rozumie, że jedynie olbrzymi wysiłek całego narodu, a nadewszystko pracującego ludu polskiego, sprosta świętemu zadaniu stawiania podwalin pod gmach Zjednoczonej Polski ludowej, obrony wolności narodowej i granic Ojczyzny, ochrony ludności od głodu, trwałego zabezpieczenia nietykalnych praw Polski w stosunkach z innemi narodami. Naród Polski musi bez zwłoki posiąść rząd, będący wiernym i silnym wyrazem powszechnej woli narodowej. Rozumiejąc, że interesy warstw uprzywilejowanych muszą w tej historycznej godzinie ustąpić dobru Ojczyzny, obecny Rząd Polski podjął zdecydowaną inicjatywę natychmiastowego utworzenia Rządu Narodowego, a to w porozumieniu z politycznemi stronnictwami, przedstawiającemi pracujący lud polski. Rząd Narodowy, w większości swej z przedstawicieli pracującego ludu złożony, powstać powinien niezwłocznie. Pozostając na posterunku do chwili powstania rządu narodowego, który obejmie władzę niepodzielną do czasu zwołania Sejmu Ustawodawczego, zwracamy się do Narodu z wezwaniem do współpracy w zapoczątkowanem dzisiaj wielkiem dziele budowy Polskiej Rzeczypospolitej".

Po dłuższej dyskusji, w której kilku ministrów, a zwłaszcza prezes J. Świeżyński, wyrażali wątpliwości co do celowości takiej odezwy, ostatecznie cała Rada Ministrów poszła za głosem ministra spraw wewnętrznych, uchwaliła tę odezwę, nie wyłączając dwóch ministrów, będących mężami zaufania rady regencyjnej, albowiem nie chciała dopuścić do walki domowej i ufała, że rada regencyjna zrezygnuje dobrowolnie z władzy wobec wytworzonej niebezpiecznej sytuacji. Stało się inaczej, rada regencyjna mimo osobistych wyjaśnień prezesa Świeżyńskiego czuła się „obrażoną" i niebacznie udzieliła w nocy 4 listopada w nieprzyzwoitej formie dymisji wszystkim członkom gabinetu Świeżyńskiego, chociaż oni w swej odezwie sami złożyli swe mandaty na rzecz przyszłego rządu narodowego i chociaż te mandaty zawdzięczali nie radzie regencyjnej, ale stronnictwom politycznym, przed których wolą rada regencyjna się ugięła. Nie upłynęły dwa dni, a rada regencyjna zrozumiała swój błąd i usiłowała go naprawić, ale było już zapóźno.

Gdy na rannem posiedzeniu w dniu 4 listopada prezes Świeżyński zawiadomił ministrów o dymisji, ministrowie postanowili zawiązać się w komitet ministerjalny i zgodnie z odezwą dalej urzędować po uzupełnieniu się z grona stronnictwa socjalistycznego i ludowego na podstawie poprzedniego porozumienia. Tylko prezes gabinetu Świeżyński, który nieoględnie sam kontrasygnował dymisję gabinetu, i obaj mężowie zaufania rady regencyjnej, Ponikowski i Higersberger nie weszli w skład komitetu. Komitet jednak w pełnym składzie przez dwa dni napróżno wyczekiwał przybycia przedstawicieli socjalistów w Warszawie w poprzednio umówionej porze. W przypuszczeniu, że przywódcy socjalistów wyjechali do Krakowa dla porozumienia się z ludowcami, komitet wydelegował mnie i ministra Wł. Grabskiego do Krakowa celem ostatecznego uzupełnienia rządu i powzięcia dalszych postanowień. Niebawem przybyli wślad za nami do Krakowa dwaj delegaci rady regencyjnej, b. marszałek rady stanu Pułaski i b. wicemarszałek Bądzyński z pismem tejże rady, którzy mnie przedstawili jako przedstawiciela Komitetu ministerjalnego. W piśmie tem rada regencyjna oświadczyła gotowość ustąpienia i przelania swej całej władzy na rząd narodowy, jeżeli rząd taki się utworzy. Niestety dowiedzieliśmy się w Krakowie, że socjaliści wyjechali do Lublina i tam ogłosili rząd ludowy Republiki Polskiej, usiłując do tego rządu wciągnąć także ludowców. Dowódca korpusu krakowskiego generał Roja doniósł mi, że otrzymał od generała Rydza-Śmigłego z Lublina „polecenie" aresztowania szefa sztabu jenerała Rozwadowskiego. Było rzeczą jasną, że socjaliści skorzystali z dymisji, udzielonej rządowi Świeżyńskiego, aby wbrew dokonanemu porozumieniu ogłosić własny rząd ludowy na terenie Lublina, opuszczonym już przez okupantów. Otrzymaliśmy nadto wiadomość, że generał Rydz-Śmigły zatrzymał w Lublinie pociąg i całą ekspedycję zbrojną, wysłaną z inicjatywy naszego rządu na odsiecz Lwowa. W takich warunkach nie mogliśmy nawiązywać ponownych rokowań z socjalistami i dlatego oświadczyłem delegatom rady regencyjnej, że utworzenie rządu narodowego jako koalicyjnego nie jest już w danej chwili możliwe.

W dniu 9 listopada r. 1918 generalny gubernator Beseler zawiadomił pisemnie radę regencyjną, że przed dniem 1 grudnia 1918 generalne gubernatorstwo będzie zwinięte i z tym dniem cała administracja kraju na obszarze tego gubernatorstwa przejdzie w ręce polskie. Armja niemiecka przechodzi pod komendę wojskową i zatrzyma na razie tylko linje kolei żelaznej i komunikację pocztową i telegraficzną dla celów wojskowych, pozostawiając tę komunikację dla potrzeb ludności władzom polskim.

W dniu 11 listopada 1918 przyszło do skutku zawieszenie broni między państwami koalicji zachodniej a Niemcami. Wedle art. XII tego paktu wszystkie wojska niemieckie, znajdujące się w granicach dawnej Rosji, miały obowiązek powrócić do Niemiec w chwili, jaką mocarstwa uznają za stosowną. Już przed tym dniem doszły do Warszawy wiadomości o gotującej się rewolucji w Niemczech. Gromady wojsk niemieckich i pojedyńczy żołnierze rzucali broń i śpieszyli do swej ojczyzny przy pomocy kolei żelaznych i statków parowych. Chłopcy uliczni rozbrajali żołnierzy niemieckich i otrzymywali od nich broń jako zdobycz pokojową. Widoczne było, że okupacja skończy się przed wyznaczonym terminem.

W tymże dniu przybył do Warszawy zwolniony z Magdeburga Józef Piłsudski, przyjęty owacyjnie przez ludność Warszawy. Rada regencyjna przekazała mu w dniu 11 listopada władzę wojskową i naczelne dowództwo wojsk polskich jej podległych, z tem zastrzeżeniem, aby „po utworzeniu Rządu Narodowego, w którego ręce Rada Regencyjna zgodnie ze swojemi poprzedniemi oświadczeniami zwierzchnią władzę państwową złoży, Brygadjer Józef Piłsudski władzę wojskową, będącą częścią zwierzchniej władzy państwowej, temuż Rządowi Narodowemu zobowiązuje się złożyć, co stwierdza podpisaniem tej odezwy“ — podpisali regenci i Józef Piłsudski (Orędzie Rady Reg. do Narodu Polskiego z 11 listopada 1918 Poz. 38 Dz. Praw). W dniu 14 listopada 1918, po konferencjach Piłsudskiego z przedstawicialami stronnictw, rada regencyjna dekretem z 14 listopada 1918 poz. 39 Dz. Pr. ogłosiła, że postanowiła radę reg. rozwiązać, „a od tej chwili obowiązki nasze i odpowiedzialność względem narodu polskiego złożyć w ręce naczelnego dowódzcy do przekazania Rządowi Narodowemu“.

Dalsze wypadki w Polsce są powszechnie znane. J. Piłsudski nie utworzył Rządu Narodowego i nie przekazał mu swej władzy. Natomiast dekretem z 14 listopada powołał na Prezydenta gabinetu „pana posła Ignacego Daszyńskiego, którego długoletnia praca, patrjotyczna i społeczna daje mi gwarancję, że zdoła w zgodnej współpracy ze wszystkiemi żywiołami przyczynić się do odbudowy dźwigającej się Ojczyzny“, dekretem zaś z 22 listopada 1918 poz. 41 Dz. Pr. zawiadomił: obejmuję „jako tymczasowy Naczelnik Państwa Najwyższą Władzę Republiki Polskiej i będę ją sprawował aż do czasu zwołania Sejmu ustawodawczego“.

Szereg naszych pisarzy, jak mniemam, wskutek niedoceniania wypadków październikowych w Polsce, przypisuje wypadkom z 11 listopada takie doniosłe znaczenie, że skłonni są dopiero od tej chwili rozpoczynać datę niepodległości Polski. Starałem się na podstawie faktów dziejowych i osobistych przeżyć wykazać, że zapatrywanie to jest błędne i zapoznaje samorzutną, niezależną od zdarzeń na Zachodzie inicjatywę narodu i jego przedstawicielstwa dla utwierdzenia wolności i niepodległości, gdy tylko losy wojny i osłabienie wrogów na to pozwoliły. Dzień 11 listopada 1918 był dniem radosnym dla Warszawy i Polski, albowiem radosnym był widok ucieczki z kraju wrogów, którzy nie tak dawno jeszcze łudzili się, że w kraju tym wieczyście panować będą. Ale prawno-politycze[go] znaczenia ta ucieczka nie miała, bo opuszczenie przez nich kraju było już w październiku postanowione i ułożone, a część kraju była już niepodzielnie w posiadanie Polski. O wyrzucaniu Niemców z Polski w owym dniu nie było mowy, gdyż sami chętnie i dobrowolnie kraj opuszczali, prosząc jedynie, aby im krzywdy nie czyniono.

Jako datę powstania niepodległego państwa polskiego przyjęła była Warszawa dzień 12 października 1918, jako dzień przejęcia wojska polskiego pod władzę polską i zaprzysiężenia tego wojska. W dniu 14 października święciła Warszawa i cała Polska uroczyście odzyskanie niepodległości narodu. Wprawdzie władze okupacyjne były wówczas jeszcze w kraju, ale nikt nie rościł sobie pretensyj do b. Królestwa Polskiego, abowiem Rosja zrezygnowała ze swoich praw dawniej, Niemcy zaś zobowiązały się opuścić kraj za kilka tygodni. Jeżeli jednak, z przyczyn teoretycznych, żądają niektórzy dla powstania państwa istnienie rządu, niezależnego od okupantów, to datę tę należałoby o kilka dni przesunąć, do chwili ogłoszenia nominacji rządu Józefa Świeżyńskiego, który objął rządy w kraju bezspornie do Polski należącym i tę niepodległość stwierdził formalnie aktami o znaczeniu międzynarodowem. Jeżeli nakoniec zupełne faktyczne opuszczenie kraju przez okupantów chcianoby uważać za konieczny warunek niepodległości kraju, to należy przypomnieć, że w dniu 1 listopada nie było już wcale okupantów na całym obszarze dawnej okupacji austrjackiej (Lubelszczyzny), a także z b. zaboru austrjackiego na obszarze Małopolski Zachodniej i części Śląska, gdzie władze polskie niepodzielnie rządziły w imieniu rządu polskiego. Okoliczność więc, że Warszawę opuścili okupanci dopiero 11 listopada, także z tego powodu nie ma znaczenia decydującego.

STANISŁAW GŁĄBIŃSKI

Z MYŚLI JANA LUDWIKA POPŁAWSKIEGO

O POGLĄDACH LITERACKICH POPŁAWSKIEGO

MÓWI Roman Dmowski o Janie Ludwiku Popławskim, że „wśród ludzi, których w życiu spotkał, nie widział umysłu tak wyzwolonego z pod panowania utartych okólników“, jak Popławski, że „myśl jego poddawała każdą rzecz głębokiej przeróbce, na wszystko miał swój głęboki pogląd, częstokroć olśniewający swą głębokością, odkrywający w niejednej sprawie taką stronę, której nikt się nie domyślał, i śmiało obalający to, co innym wydawało się pewnikiem“ [1]).

Da się te słowa całkowicie zastosować i do poglądów Popławskiego na literaturę. Zostało po nim sporo, powstających „przy sposobności“, jak się wyraził o tych swoich pracach, ale mimo to cennych artykułów i studjów z zakresu krytyki literackiej i historji literatury.

Prace te powstawały niejako ubocznie, nie stanowiąc głównego nurtu ani zainteresowań, ani działalności Popławskiego; mimo to jest w nich tyle ciekawych i głębokich uwag o różnych zagadnieniach literackich, że chociaż nie są one, szczególniej wobec nie ujęcia ich w jedną całość przez samego autora, systemem zakończonym, i chociaż nie poruszają wszystkich dziedzin, można z tych wypowiedzeń się, notat i myśli, rozrzuconych po trzech tomach dzieł [2]), ustalić kilka zagadnień rozleglejszych, a zarówno umysł Popławskiego, głęboki, wszechstronny, jednolity i ujednostajniający w stopniu rzadko spotykanym, jak i wielkie, rozległe wykształcenie jego literackie i historyczne oraz zna-

[1]) „Przegląd Narodowy“, 1908, 357.

[2]) Cytować będziemy z „Pism politycznych“, które będziemy oznaczali, jako tomy I i II, oraz ze Szkiców literackich i naukowych, jako tom III.

jomość zarówno wszelkich przejawów współczesnej mu twórczości literackiej, jak i życia społecznego — sprawiają, że poglądy jego na różne zagadnienia literackie, zebrane i zestawione, mimo swą przypadkowość i fragmentaryczność, przedstawiają ciekawą całość, zaś fakt uwzględnienia przez Popławskiego „podkładu społecznego“ zjawisk literackich, jak się wyraża, (III, 163) czyli wzięcia pod uwagę głębokiej łączności, jaka zachodzi między życiem społecznem a zjawiskami piśmienniczemi — pozwala mu rzucić na zagadnienia literackie zgoła nowe oświetlenie.

„Wielkie dzieła twórczości ludzkiej“ są „wzniosłe i jasne, silne i proste“ (III, 129) — mówi Popławski, jakgdyby kreśląc klasyczne w swej zwięzłości *motto* dla całej twórczej pracy literackiej, a w łączności z tem (jest tu zaś Popławski w zgodzie ze wszystkiem, co jest głębokie i zdrowe w kulturze europejskiej) — są słowa jego o poezji, koronie twórczości ludzkiej, że „blaski poezji“ (w jej treści raczej zresztą, niż formie) to „dążenie do prawdy, do poświęceń gorących, do celów nieuchwytnych, ale wzniosłych“... (III, 25); w związku z tem jest również przeświadczenie, że „działalność literacka jest poprostu służbą społeczną w imię określonych ideałów moralnych i politycznych“ (III, 159), że „literatura to służba obywatelska, dla której świadomie poświęcić można nawet sławę autorską“ (III, 161).

W tym charakterze — mówi Popławski — piśmiennictwo „jest, — jak powiadają (kapitalny zwrot człowieka, bardzo głębokiego i prostego, a zmuszonego nagle do użycia zwrotów, pachnących retoryką) — kwiatem życia duchowego narodu, skarbnicą najwznioślejszych jego myśli, najlepszych uczuć“... (I, 5) skąd płynie wniosek oczywisty, że „możność swobodnego rozwijania naszej odrębności kulturalnej, naszego języka, naszej umysłowości i literatury — jest bardzo ważnym interesem narodowym“... (I, 46).

O tem, jak głęboko pochłaniało Popławskiego zagadnienie owej „odrębności kulturalnej“ — świadczyć może ubocznie fakt, że Popławski w pracach swoich wspomina głównie o tych królach polskich, którzy w działalności swojej uwzględniali interesy kulturalne narodu, jak Kazimierz Wielki, Zygmuntowie, Stanisław August.

Podkreśla silnie Popławski fakt, że u podstaw kultury, dla umożliwienia powstania jej poprostu — musimy umieścić „rodowitość“ twórców kultury (III, 170), t. zn. ich pochodzenie narodowe, ich ścisły związek z ziemią i z ludem. Nie mniej ciekawe jest twierdzenie Popławskiego, że „życie kulturalne narodu składa się z drobiazgów, jak, np., z używania języka w instytucjach, w korespondencji, nawet w kwitarjuszach Towarzystw“... (II, 81).

Rzecz prosta, że nie chce Popławski przez to powiedzieć, aby kultura zamykała się w „kwitarjuszach“, ale ktoby szukał jej tylko w t. zw. „wielkich przejawach“, a nie zechciał widzieć jej w drobiazgach, ten, rzecz pewna, znalazłby tylko połowiczne jej przejawy. „Swobodny rozwój odrębności kulturalnej“ byłby wówczas skrępowany, bowiem „odrębności“ te przejawiają się przedewszystkiem nie u szczytów życia, gdzie raczej „wspólność“ z obcemi kulturami widzimy, ale u dołów, w tysiącznych „drobiazgach“, w tysiącznych formach, na których swój znak wyciskają upodobania, pojęcia, zwyczaje i tradycje najszerszych i w pewnej mierze najniższych, rdzennych mas narodowych. W ten sposób na „drobiazgach“, niewątpliwie, wyciska się i w drobiazgach przejawia się najpewniej styl narodowy.

W powyższych opinjach Popławskiego jasno zarysowuje się niezależność jego od modnych wówczas haseł „sztuki dla sztuki“, które (najogólniej rzecz biorąc) polegały właśnie na zupełnem, a programowem niejako zlekceważeniem przez jednostkę twórczą, a więc, zgóry rzekomo rozgrzeszoną — obowiązków wobec społeczności własnej.

Uderza również w poglądach o sławie autorskiej to, co mówi Popławski o poświęceniu jej, gdy tego wymaga służba obywatelska, bo przecież od czasów renesansu sława jest celem twórców i mecenasów w ciągu czterech wieków prawie. Popławski opiera się tej suggestji wieków, bo przyjmuje zasadę wyższą, niż interes jednostki, choćby się tylko w tak niematerjalnych dążeniach, jak sława, mieścił, i w ten sposób ustala punkt nowy w pojęciu o celach twórczości literackiej, a w zestawieniu z ideami panującemi — punkt zwrotny, mimo, że jeszcze nieobowiązujący.

Mówi Popławski, że o wartości artystycznej tego rodzaju, który najpełniej ujmuje życie ludzkie, a więc, powieści — rozstrzygają z jednej strony — „barwna rozmaitość szczegółów opisowych, obfitość postaci działających, charakterów, sytuacyj“... (III, 40), a z drugiej strony, „dokładna, drobiazgowa analiza... przeobrażeń psychologicznych“, z artystycznych względów „niezmiernie ważna”, bo „chodzi nie o rezultat przeobrażania duchowego, ale o sam proces przeobrażenia“ (III, 77).

Analiza ta winna objąć i „postacie drugorzędne, które artysta musi starannie, dokładnie wykończyć“; zdarzyć się bowiem mogą obrazy, w których „postać centralna usuwa się w dal, a chociażby nie usuwała się wcale, to obok niej na pierwszym planie stoją postacie drugorzędne“... (III, 144); należy je więc równie głęboko i starannie, jak postacie główne, przedstawić.

„Obserwacje życia” — powinny być — „niepowierzchowne, głębokie, dokładne“, zgoła „niepośpieszne”, przyczem „metoda naukowa obserwacji” daje możność „chwytać mnóstwo rysów, które uchodzą spostrzeżeń artystów” (III, 115), byle tylko pamiętać, że „wrażliwość i bystrość wraz ze skłonnością do uogólnień pośpiesznych” — szkodzą „trafności obserwacji“ (III, 57) i że metoda naukowa obserwacji może doprowadzić łatwo do tego, że artysta-badacz „nie robi żadnego wyboru, ale ze skrupulatnością etnografa zapisuje wszystkie drobiazgi, jakie na pamięć mu przyjdą“... (III, 112).

„Poważny bieg twórczości” może być równie skrępowany zbyt „systematycznem opracowaniem“ (III, 176), ale i „wartość psychologiczna” utworu może być zmniejszona „zbytecznemi popisami retorycznemi”, podobnie jak wartości utworów artystycznych (i naukowych) szkodzi znów publicystyka (III, 116).

Przy opisie uczuć (czynnik oddziaływania artystycznego) trzeba dbać o to — mówi Popławski — aby na czytelników „przyzwyczajonych do spowszedniałej potocznej mowy realnej“, nie zrobiły one „wrażenia efektów melodramatycznych“, t. zn. trzeba je stosować „w szczerości“ odczuwań, wówczas nie będą robiły one wrażenia „teatralności“; jest wogóle trudną — twierdzi Popławski - sztuka odtwarzania uczuć, bo każdy pojmuje „efekty“ uczuciowe po swojemu (III, 18).

Trudność również sprawiać może „osobisty charakter utworu“, ze względu na uczuciowe pierwiastki, narzucające się i twórcy, i czytelnikowi, ale właśnie ten charakter ma dla Popławskiego „szczególną wagę”, gdyż pozwala on na „uchwyce-

nio wybitnych znamiom indywidualności samego twórcy" (III, 69).

Również niejakie niebezpieczeństwa może mieścić „coraz bardziej obrazowe, barwniejsze, więcej urozmaicone" — odtwarzanie „życia realnego", bo wówczas „pierwiastek ideowy nie odbija się tak wyraźnie", ale za to ta obrazowość nie przeszkadza, aby „głębszem, bardziej filozoficznem i wszechstronnem" stało się „usiłowanie dokonania syntezy danej grupy faktow życiowych" (III, 41).

Obok powieści psychologicznej, uwzględnia Popławski powieść „tendencyjną", „publicystyczną" która przeciwstawia się powieści psychologicznej, ale która nie jest („jako forma twórczości") wyższą od powieści „naturalistycznej" czyli psychologicznej, podobnie jak i „objektywizm artystyczny nie ma wyższości zasadniczej nad lirycznym subjektywizmem". Bardzo słuszne spostrzeżenie!

Pewną tendencyjność wprowadza już do utworu („chociaż żaden autor zapewne na to się nie zgodzi") „świadomość wyboru... nietylko osoby głównej, ale i sfery społecznej, a dalej wybór charakterystycznych momentów psychologicznych i życiowych"... (III, 144).

„Tendencje społeczne" w powieści prowadzą do ujmowania warstw społecznych nie jako zbiorowisk indywidualności „psychicznych", ale jako „szarej masy, istoty zbiorowej" (III, 115).

Powieść z tendencją, o ile jest dobrze napisana, nie będzie bezbarwną, nudną ramotą ale będą to „żywcem wzięci przedstawiciele różnych sfer społecznych"; będzie to „tryskający prawdą obraz starć i krzyżowania się stosunków ludzkich, oświecony blaskiem myśli, dociekającej głębi i istoty zjawisk", ale poza tem nie zobaczymy „nieraz wcale duszy człowieka", a „zakończenie" staje się „zawsze prawie rozwiązaniem pewnej kwestji"...

Taka jednostronność zmniejsza wartość utworu, ale można jej uniknąć, zachowując jednocześnie tendencje społeczne, pierwszorzędnego znaczenia dla społeczeństwa.

Dlatego mówi Popławski, że powieściopisarz powinien być mimo wszystko „publicystą", zresztą „nie zanadto", ale tylko „trochę", a ma Popławski na uzasadnienie tej tezy argument, że tendencja, „głęboko odczuta", nadaje „słowom tę siłę uczucia, która porywa czytelnika i zniewala go zapomnieć o ujemnych stronach utworu" (III, 36).

Literatura „tendencyjna", odpowiadając „dążeniom społecznym danej chwili" (III, 36), wydaje się bardziej „realistyczną", niż inne rodzaje, ale Popławski jest przeciwnikiem owego realizmu, który bierze „wprost z rzeczywistości związaną pewnemi stosunkami grupę ludzi" i przenosi ją „z zachowaniem fotograficznego podobieństwa na papier". Taką metodę nazywa „pierwotnym, grubym eksperymentalizmem, który przeżył się już w nauce, ale w literaturze pięknej znajduje jeszcze zwolenników", a „na takiej metodzie cierpi najwięcej tendencja sama" (III, 24).

Takiemu błędowi ulegały — mówi Popławski — pierwsze powieści Orzeszkowej, a prócz tego cały dział naszej beletrystyki, powtarzającej, np., „w niezliczonych odmianach w gruncie rzeczy jeden i ten sam typ szlachcica. Pierwowzorem tego typu, malowanego według podobnego szablonu, jest bodaj czy nie Radziwiłł Panie Kochanku, wyidealizowany przez Rzewuskiego" (III, 104), za którym „powieściopisarze i poeci nasi wyidealizowali typ szlachecki, nadając mu pewne rysy, jakich wcale nie posiadał" (III, 107).

„Nie mogę tu — mówi Popławski — szczegółowo wyjaśnić przyczyn tej idealizacji szlachetczyzny, zaznaczę tylko, że nawet te strony charakteru i życia, które autorowie uznali za ujemne, wyglądają względnie sympatycznie. Nie chodzi mi jednak o tendencję powieści szlacheckich, ale o niezgodne z prawdą psychologiczną przedstawienie stosunków i ludzi realnych. Wyidealizowani kontuszowi szlachcice coraz rzadziej zjawiają się na kartach powieści. Sienkiewicz, kiedy w ostatnich czasach pragnął wskrzesić idealną szlachetczyznę, bardzo trafnie wybrał typy i postacie żołnierskie z XVII w., a obok nich postawił istotnego szlachcica Zagłobę, tylko go następnie zbyt uszlachetnił i umoralizował" (III, 108).

Na zarzut ostatni nie podobna się zgodzić, ponieważ Zagłoba przez Rozłogi najpierw, skąd uprowadza Helenę, narażając się na prawie niechybną, a napewno okrutną śmierć, a potem przez kampanję w Zbarażu — stwierdził swoją istotną zmianę wewnętrzną, swoje przerodzenie się z opoja i fanfarona w rycerza i obywatela; więc Sienkiewicz nie „zbyt go uszlachetnił", ale zgodzić się można, że pojęciom realistycznym Popławskiego sienkiewiczowski typ Zagłoby nie odpowiada.

Realizm artystyczny, wedle Popławskiego, przejawia się o tyle, o ile 1) bada zjawiska życia rzeczywistego i 2) „odzwierciadla potrzeby i dążenia chwili obecnej" (III, 22).

Mówiąc o realizmie, Popławski podkreśla „charakterystyczny rys naszej twórczości poetycznej", że „w wyborze przedmiotu jesteśmy zawsze realistami, podejmujemy zadania konkretne, powiem, nawet praktyczne, ale przedstawiamy je w złudnem, fantastycznem oświetleniu. Zupełne przeciwieństwo — mówi dalej Popławski — przedstawia realizm rosyjski, który prostotą środków zewnętrznych przewyższa może nawet szkołę naturalistyczną, a pomimo to tkwi w nim zawsze prawie pierwiastek wrodzonego mistycyzmu"... (III, 17).

Nie posądza Popławski o mistycyzm naturalizmu swoich czasów.

Zwraca Popławski najpierw uwagę na brak ustalenia pojęć o naturaliźmie, bo jedni nazywają „naturalistą", „niekiedy Dygasińskiego, dlatego zapewne, że przyroda zajmuje ważne miejsce w jego utworach", a kiedyindziej „p. Zapolską, że lubowała się w opisach scen pornograficznych"; innych wreszcie dlatego, że „używają dosadnych wyrażeń"... (III, 140).

Dla Popławskiego naturalistą jest każdy autor, któremu może „dostarczyć materjału do spostrzeżeń, wątku do wykładu... każdy objaw, każdy fakt drobny" (III, 142).

W okresie, gdy snobizm wielbił tylko naturalizm i jego przedstawicieli, bo byli oni największą „atrakcją" chwili, sezonowym „przebojem", Popławski zwraca uwagę na bardzo charakterystyczny fakt, że „utwory mistrzów naturalizmu, jak Zola — dwa, trzy razy mniej są poszukiwane", niż utwory „tendencyjne", i tłumaczy to tem, że „utworami naturalistów rozkoszuje się tylko burżuazja, a elukubracje wszelakich „dekadentów" zachwycają jedynie garstkę nieliczną wynaturzeńców"... (III, 133), przyczem trzeba podkreślić, że Popławski „pierwotności" nie identyfikuje „ze zgnilizną, która ogarnęła zarówno przedstawicieli pewnej warstwy społecznej: i tych, co zaczerpnęli ze zdrojów powierzchownej cywilizacji, i tych, co ze swojskiej gleby wciągali w siebie niezdrowe soki; których wytwarza nie cywilizacja, ale cały ustrój społeczny, wspólny mieszkańcom Paryża i cichego litewskiego zakątka"... (III, 24).

Mówiąc o stosunku Popławskiego do modnych wówczas form naturalizmu, trzeba zaznaczyć z całym naciskiem i tę niezależność umysłu Popławskiego, nie ulegającego temu, co było uznane i poczytane za postępowe, a która kazałaby mu w słynnym zatargu „o ruję i porubstwo" stanąć obok Sienkiewicza, byli bowiem obydwaj ludźmi jednego gatunku polskiego i ludzkiego.

Nie uznając naturalizmu w jego formach zwyrodniałych pod wpływem ówczesnych materjalistycznych doktryn i tendencyj, Popławski uznaje prawo realizmu do życia i ujmuje je w aforyzm, że „realistyczne obrazki... mają... takie samo prawo istnienia w literaturze, jak i każdy inny.." (III, 32).

Przeciw niezdrowej atmosferze naturalizmu wysuwa Popławski kierunek narodowy piśmiennictwa, bo „literatura rodzima" mieści w sobie „najpewniejszy zadatek przyszłości narodu" (III, 161), ale zarazem nie identyfikuje Popławski naturalizmu z pierwiastkiem wszechludzkim, który polega „na charakterze ogólniejszym, idealnym..." (III, 81).

Przeciwstawieniem powieści tendencyjnej, ogarniającej całość spraw społecznych, jest i liryka, obejmująca zakres spraw jednostki. Cały oddany społecznym zagadnieniom, pochłonięty sprawami ogólnemi, narodowemi, był jednocześnie Popławski bardzo subtelnie nastrojonym do rozumienia usposobień liryka, bo, niewątpliwie, odpowiadały one i jego osobistemu odczuwaniu i zamiłowaniom; nienapróżno przecież marzył kiedyś o poetyckich trjumfach (III, 15).

Liryzm stanowi „oryginalne znamię" twórczości i może (wbrew spodziewaniu) nadawać utworom poetyckim „siłę niezwykłą" (III, 16), byle nie wpadały w popisy retoryczne (III, 18).

Liryka jest w zasadzie przeciwstawieniem się epice, ale mogą być utwory, jak opowiadania Szymańskiego np., które mimo że mieszczą w sobie pierwiastki ściśle epiczne, są liryką (III, 16), tak dalece liryzm może górować nad opowieścią swoją „wyłącznością i wszechwładztwem uczucia". Takim jest romantyzm (III, 17).

Liryk—twierdzi Popławski—to człowiek, którego „myśli i uczucia stanowią właściwą treść" ich dzieł; „ludzie o tyle, o ile dusze ich ich i dzieje w bezpośrednim znajdują się związku z tem, co mózg... pali, serce przyspieszonem tętnem wstrząsa... Nawet opisy przyrody są tylko ilustracją tej roboty duchowej, nie zaś rezultatem badania ciekawego spostrzegacza..." (III, 16).

Warunki powstawania lirycznego talentu — mówi Popławski — są wówczas sprzyjające, gdy „myśli i uczucia nie rozpraszają się, nie wydatkują szczodrze, ale gromadzą się w duszy ich zapasy, aż wreszcie natłoczona ta masa w chwili sposobnej rozpręża się, wylewa wezbranym potokiem. Ten wylew liryzmu tak jest nieraz potężnym, że fale jego zatapiają nietylko wątłe postacie ludzkie, ale nawet olbrzymie kształty natury..." (III, 16).

IGNACY KOZIELEWSKI

GNIAZDO BIAŁOZORA

PROLOG

JEZIORO leżało lśniąc srebrem w trjumfie słonecznym majowego odwieczerza. Wszystko żyjące było barwą, wonią i śpiewem: łozy i trzciny, olchy i brzozy, porosty wodne, jałowe piachy nadbrzeżne i powietrze aż mgławe od kwietnego pyłu. Cały kraj święcił gody! Otulony w gąszcz łóz, w zatoczce, skąd widna była bezkreśna, gładka toń wodna, niewidzialny w nawisłych warkoczach brzozy, strojnej w wielki kierz jemioły, stał człowiek ze strzelbą i patrzał. Słońce miał za sobą, więc wzroku nic nie ćmiło i biegł po widowisku, cudnem dla przyrodnika. Bliżej w czerotach roiło się od kaczek wrzaskliwych, swarliwych, łapczywych i rozpustnych.

Zielonogłowe kaczory hulały zapamiętale, lub tłukły się do pół śmierci. Wrzask panował jak w karczmie. Smyrgały wśród tej kaczej czeredy kuliki i rybitwy, bekasy i czajki — czasem porywał się i odlatywał, zgorszony gomonem, ciężki kulon, lub bąk, spłoszony w swej medytacji.

Na gładzi jeziora, jak zjawy, wytryskiwały z głębi nury i nikły, przepływały majestatycznie jak nawy czarne łabędzie, przemykały śmiesznie czubate perkozy, muskały lotkami o toń w tańcach i korowodach, w igrzyskach i łowie czajki, zabłąkane mewy, przelotne miękopióry i burzyki, którym w tej rozkoszy godów nie śpieszno było na daleką północ. Wrzaski, poświsty, chrapliwe wabie, chichoty, trąbienia, hejnały, bitewne wyzwiska — cała orkiestra wiosennej gry życia.

Parę razy, na widok rzadkiego gościa, myśliwy kładł prawicę na strzelbie, jakby ją od boku do oka chciał podnieść, i w pół ruchu ustawał w refleksji — przed mordem.

A wtem w błękicie nieba zamajaczył ciemny punkt i ozwał się gwizd drapieżny.

Jezioro nagle opustoszało, co żyło skryło się pod wodę lub w haszcze i zapanowało milczenie lęku.

Cień wielkiego ptaka zatoczył krąg nad wodą, białawemi, potężnemi skrzydły prawie musnął toń i odpłynął w dal błękitu.

Uśmiechnęła się cała twarz człowieka.

— Witaj, bracie! Dobrych ci łowów!

Długą chwilę obumarło jezioro trwogą.

Pierwsze nabrały rezonu kaczki, bezpieczne w trzcinach, ale nie śmiały wytknąć się na szeroką gładź — buszowały bezczelnie w ukryciu.

Tedy myśliwy powoli sięgnął do torby u boku.

— Bracie, pomogę ci! — cisnął daleko na wodę ciemny przedmiot i zawabił jak cyranka.

Natychmiast z łóz porwały się dwa kaczory i spadły z pluskiem na wodę otwartą.

Jak aksamity świeciły ich zielone głowy — płynęły na tego wabia samicy.

Nie zdążyły — jak pocisk spadł na nich ptak mocarny i już trzymał jednego w szponach stalowych, bez wysiłku uniósł zdobycz w powietrze i popłynął w błękicie ku ciemniejącym w dali borom.

Patrzał za nim człowiek, z wyrazem przyjacielskim w oczach. Patrzał długo, aż dal pochłonęła skrzydlatego władcę — wyszeptał:

— Użyj, bracie, sytości! I tobie i nam już tu nie długie trwanie i panowanie!

MARJA RODZIEWICZÓWNA

NA WIDOWNI

Logika dziejowa załamania. — Elita i masy. — Lekceważone życie cywilizacji. — Dzieje lat ostatnich. — Załamania lat 1920 i 1926. — Wpoprzek Opatrzności. — Katastrofalne starcie dwu cywilizacyj. — Zagrożony duch Polski. — Rewizja fundamentów.

CZASY nasze byłyby logiczne, gdyby można było liczyć na to, że Polacy przyzwyczają się do kryzysu, poczytując go za stan normalny. Na to można było liczyć w Rosji, u nas jednak nie tak łatwo o zupełne załamanie dziejów, kultura bowiem wiekowa—zwłaszcza dzielnic zachodnich — daje społeczeństwu pewną prężność: drzewo odgięte odprostowuje się. Nie wszystkie jednak kryzysy powszechność odczuwa jednakowo: materjalny w życiu gospodarczem jest najpowszechniej odczuwany, państwowy już w kręgu szczuplejszym, najgłębszy kryzys, sięgający w podstawy budowy cywilizacji, — budzi reakcję tylko w sferze pracowników ducha.

Kiedy rzeczy doszły w Polsce do tego kresu, że uznano jawnie, publicznie akcję znieważania godności ludzkiej za rzecz naturalną, bo już wszystko jest domeną państwa, a państwo domeną jednej osoby, ogół zaś jednostek i grup zrównany jest z zerem,—to wtedy przerażenie miało w sobie tyle zdziwienia, że dłuższego czasu trzeba było, iżby kto przemówił. Polak cywilizowany nie chciał dawać wiary faktom, które go do tego stanu rzeczy miały przyzwyczaić, tłumaczył je sobie wszystkiem innem (działaniem kryminalnych jednostek, nadużyciem i t.p.), aby tylko nie spojrzeć prawdzie w oczy. Rzeczywistość te oczy trochę przetarła.

Organ urzędowy obecnego kursu, „Gazeta Polska", omawiającobjawy reakcji społeczeństwa, odezwał się lekceważąco w tym sensie: „Wielkie rzeczy! Protestuje E l i t a. A cóż znaczy Elita wobec tych mas, którym właśnie taki tryb się podoba; dowodem wybory".

Sprawa się wyjaśniła. Załamanie cywilizacji nie jest przypadkowe. Nadszedł tedy moment krytyczny. Wszystko, co zewnętrzne, można załatwić kompromisowo, ale istota moralna człowieka — to ostatni szaniec.

Z tego, co pisałem w „Myśli Narodowej" od r. 1925, ułożyłem książkę p.t. „Załamanie". Czeka ona lepszych czasów na wydanie. Wspominam o tem dlatego, żeby uprzytomnić, jak dawno kryzys obecny się zaczął; właściwie — zaraz po odbudowaniu Polski. Z naszego tutaj posterunku było go widać krok za krokiem, jak następował. Nie mogę sobie odmówić smutnej satysfakcji powtórzenia w urywkach tego, co pisałem jeszcze w r. 1920 w książce wydanej przed 10 laty [1]):

„Losy żywego wnętrza naszej cywilizacji, którą dźwigamy swemi piersiami i żywimy przelotnym tchem życia osobistego, aby ją oddać synom, zasługują na najwyższe zainteresowanie ludzi oświeconych.

Miarą wartości moralnej człowieka jest stosunek jego do tego wnętrza cywilizacji, które go zrobiło człowiekiem. Złudzeniem jest myśleć, że poza sferą tego procesu duchowego szerszego, w cywilizacji narodowej, człowiek może być czemś sam przez się lub stworzyć może państwo. Gdyby się stowarzyszył i sprzysiągł ze wszystkimi ludźmi na świecie, podobnie myślącymi, a nie zaznał tętna swego ustroju narodowego, żadnej pozytywnej siły moralnej przedstawiać nie będzie.

W tak postawionem zagadnieniu życia strona polityczna jest tylko wynikiem tej postawy moralnej, jaką człowiek zajął wobec siebie samego w swojej cywilizacji. On bowiem i jego cywilizacja — to jedna siła żywotna. Kto się jej przeciwstawia, przekreśla siebie, zatracając swoje wartości ludzkie, nie tylko polityczne.

Równolegle do tej naszej pracowała w Polsce myśl destrukcyjna, znajdująca tutaj dla siebie grunt podatny z powodu niewyrobienia kulturalnego społeczeństwa i warunków szczególnych niewoli politycznej. Polska wskutek położenia swojego geograficznego, jako teren przejściowy między Wschodem i Zachodem, stała się miejscem krzyżowania paru bardzo nierównych cywilizacyj. Pchana na Wschód stała się ściekiem wpływów podziemnych, w coraz wyraźniejszym celu odebrania Polsce osobowości cywilizacyjnej. Cały świat potęg międzynarodowych (t. zw. dzisiaj mocarstwo anonimowe) pracował na to, aby Polska utraciła świadomość dziejową.

Historja zajmuje się już teraz wysiłkami tej walki o Polskę podczas wielkiej wojny i kongresu 1919. To co jest dzisiaj — r. 1920 — naszą rzeczywistością, oceniać należy jako wypadkową starcia się tych dwóch sił: 1) twórczości narodowej i 2) destrukcji. P o l s k a p o c h y l i ł a s i ę. Można określić jej stan, jako pewien stopień p s y c h o z y b o l s z e w i c k i e j, zwalczanej przez zdrowy zasadniczo organizm narodu.

Ilekroć w Polsce przemówi instynkt, nie paraliżowany chorobliwem działaniem zdegenerowanej i zakonspirowanej inteligencji, wszystko zdaje się wróżyć dobrą drogę dziejową. Świadczy to, że Polska jest ustrojem psychicznym dojrzewającym, zdolnym do aktów woli. Stwierdzano stale dzielność polską, wrażliwość i inne zalety, ale to były pochwały raczej rasy fizycznej. Czekano na dowody, czy zorganizowana jest dusza narodu, czy ona zdolna będzie wytworzyć i utrzymać ten wielki aparat czynu narodowego, jakim jest państwo — przyznane Polsce na kongresie.

Nietylko sojusznicy czekali. Z jakimże niepokojem, a nieraz bólem wpatrywaliśmy się w oblicze Polski my, publicyści, którzy długie lata szczepiliśmy naukę, że nie będzie państwa trwałego, że nic nie przyjdzie z formalnych tytułów niepodległości, jeśli je zdobędziemy, dopóki nie zorganizuje się dusza narodu. Myśl bowiem, świadomość, poczucie ustrojowe bytu są podstawą samego prawa do istnienia niepodległego, no i — możności takiego istnienia. Z niepokojem dokonywaliśmy badań tej duszy w celach wychowawczych, zapuszczając się w dziedziny i literatury, jako sprecyzowanego organu świadomości, i w dziedzinę życia publicznego, i gospodarstwa, i obyczaju, a wszędzie stwierdzać wypadło niedorozwój kultury względnie do potrzeb nowożytnych narodu: zapóźnienia, braki, niekiedy wprost kalectwa umysłowe. Gdy przyszedł po wielkiej wojnie czas budowania państwa, człowiek średni, który w poruszeniu uczuć okrzykuje po ulicach swoją wolę, nie miał do pomyślenia nic sensownego: zgadywał człowieka, który dokona cudu, nawet nie wiedział gdzie go szukać. Nic naturalniejszego w takich warunkach, jak uzurpacja władz przez takie siły, które stawać będą potem n a p o p r z e k O p a t r z n o ś c i, c z u w a j ą c e j n a d n a r o d e m.

Ostatni eksperyment (Kijowa) narażający Polskę na utratę niepodległości, oprzytomnił umysły. Gdy nadeszła plaga bolszewicka, sięgająca po nasze serce do Warszawy, dokonaliśmy jeszcze raz cudu obrony — dla siebie i dla świata.

Ale nie dość obronić Warszawę. Pozostaje przed nami druga „Marna": ocalić byt państwowy, więcej — o c a l i ć c y w i l i z a c j ę p o l s k ą. Musimy obliczyć się z sobą — czego my sami właściwie chcemy? Czy chcemy mieć państwo zdrowe, uregulowane w granicach, zorganizowane porządnie i obronne, czy też ma być ono i g r a s z k ą a m a t o r ó w p o l i t y k i i m a n j a k ó w? Czy pozwolimy na psucie kunsztownego aparatu naszej cywilizacji i narażenie jej na katastrofy".

Po roku 1920, nadszedł r. 1926, wreszcie 1930, a z nim wyraźne już całkiem zagadnienie kryzysu elementarnych zasad cywilizacji. Złamać „człowieka, urobionego przez cywilizację zachodnią— oto ostatni etap.

Nie zrozumiemy dziejów swoich obecnych, jeśli nie będziemy ich rozważać na tle ogólniejszem owych wartości i stosunków moralnych, które stanowią niewidzialną na oko, ale realną strukturę narodu. Tam rządzą religja i etyka, tam siła dziejów, nadająca kształt i styl naszemu bytowi. To jest istota naszego życia, której w normalnych warunkach nie mamy na myśli, zwłaszcza w warun-

[1]) „O życiu i katastrofach cywilizacji narodowej" Warszawa 1921. Str. 143.

kach niepodległości politycznej. Któżby mógł na moje „ja“ nastawać? Za czasów niewoli w zaborze rosyjskim mieliśmy się na baczności, niebezpieczeństwo bowiem było zewnętrzne. Odróżnialiśmy z łatwością style cywilizacyjne; do głowy nam nie przyszło, że może w Polsce znaleźć się zastęp, hołdujący despotyzmowi, nahajce i wogóle stylowi kultury turańskiej, zacierającemu ideę narodu na rzecz państwa, a państwa na rzecz władcy.

Obrona była łatwa, bo działała solidarność narodowa i nieufność. Teraz niebezpieczeństwo zaszło nas podstępnie od wewnątrz i zwalcza nas naszemi własnemi środkami, któreśmy wytworzyli jako ochronę dla tych właśnie dóbr duchowych. Stało się coś, czego ogół nie mógł przewidzieć. Ale właśnie ta lekceważona Elita jest od tego, aby ostrzegać, a w razie potrzeby mobilizować dusze do obrony.

To, co się w Polsce stało, jest jedną z tych kasastrof, o których w książce swojej pisałem. Pokazuje się, że w okresie jednego pokolenia nie dało się wyrównać znacznych różnic kulturalnych i że odbuwa Polski nie jest sprawą jedynie państwowo-gospodarczą. Ciężkie doświadczenie uczy nas, że trzeba głęboko sięgnąć do podstaw kultury duchowej i uregulować je tak, jak tysiąc lat temu uprawiała glebę pogańską nauka chrześcijaństwa. Cały bodaj świat cywilizowany, nie tylko my, będzie musiał zrewidować swoje podstawy i swoje style, ale my musimy to zrobić bardziej elementarnie. Nigdzie bowiem sprawa rozkładu tak daleko nie zaszła, jak teraz jest u nas postawiona, że się pytamy, czy istotnie godność ludzka warta jest czegoś w życiu. Ze społeczeństwa, które świat uważał za cywilizowane, wytwarza się jakieś monstrum, dyszące pogardą dla Elity i bodaj jeszcze większą dla ludu. Bo czyż można polski lud bardziej zniesławić, jak programem katowania jego przewódców dla podobania się ludowi?

Nie samym chlebem człowiek żyje z dodaniem polityki, jak się pospolicie uważało. Trzeba się wziąć do pracy planowej nad cywilizacją. Ratować duszę polską!

ZYGMUNT WASILEWSKI

GŁOSY

CZCIGODNY JUBILEUSZ

PIERWSZY numer tegoroczny „Gazety Świątecznej” jest jubileuszowy. Założona w r. 1881 przetrwała 50 lat bez przerwy. Dzieło życia i pomnik Konrada Prószyńskiego (Kaz. Promyka) „Gazeta Świąteczna“ zajmuje w dziejach porozbiorowych zaboru rosyjskiego chlubną kartę, której nie pominie historyk, badający dolę kultury polskiej i narodu. Konrad Prószyński (ur. 1851 zm. 1908) był pionierem oświaty wśród ludu w większości swojej wówczas niepiśmiennego. W osobistości tej, niezwykle wybitnego charakteru, streściła się cała troska oświeconej Polski od czasów Staszica o wyszukanie sposobu, żeby zaniedbany lud uobywatelnić. Uczuciowy pierwiastek tej troski społecznej był natury patrjotycznej, a wynikał ze smutnych doświadczeń powstańczych, dokonywanych bez ludu i dlatego bez rezultatu.

Prószyńskiego pomysły edukacyjne miały w sobie coś z natchnień i uporczywości owładniętego ideą wynalazcy. Jak ruszyć oświatę wobec analfabetyzmu i braku szkół? Wynalazł system elementarza poglądowego, o którym rozeszła się sława, że uczy wprost bez nauczyciela. Uznano na konkursie międzynarodowym elementarz Promyka za najlepszy. 30 lat zapisywał sam swój tygodnik, nie szukając wyręki i pomocy. Z niesłychaną cierpliwością ciułał prenumeratorów, wiodąc szeroką korespondencję, aż doszedł przed wojną do 32.000 egzemplarzy. Pracował mozolnie, słynny z tego, że nigdy w nocy nie spał. Nie uznawał też stosunków towarzyskich, był samotny wśród licznego zastępu czytelników.

W jubileuszowym numerze rodzina ogłosiła po raz pierwszy krótki jego pamiętnik. Ma on znaczenie cennego dokumentu historycznego, a jako autobiografja jest on wizerunkiem rzadko spotykanej cnoty, poczucia misyjności, zaparcia i niezłomności. Na nim pokazać można drogi pokoleń, które biorąc się do ludu z motywów insurekcyjnych, przechodziły po powstaniu 1863 na system pracy organicznej. Oto wyznanie Promyka z r. 1870:

„Zrozumiałem, że żądza sławy jest tak samo prawie niską i niebezpieczną dla dobra ogółu, jak naprzykład żądza bogactwa, i precz ją odrzucić należy. Doszedłem do przekonania, że pisanie wierszy to próżna zabawka, i pisać je przestałem. Wysnułem też w sobie nowy pogląd na położenie nasze:

1) że należy pohamować w sobie uczucie nienawiści, żądzę pomsty, zbyt często zaślepiające nas, a kierować się tylko miłością ojczyzny i względami pożytku dla narodu;

2) że błędne i zgubne są nasze mniemania o ojczyźnie, o Polsce w grobie i o jej przyszłem zmartwychwstaniu: Ojczyzna, Polska nie umarła bynajmniej, nie potrzebuje cudów dla wskrzeszenia jej, ale żyje nieustannie; bo ojczyzną jest naród i kraj, nie forma państwowa. Za dużośmy poświęcali dla formy, a za mało, prawie nic dla istoty rzeczy. I tu źródło klęsk naszych porozbiorowych“.

To krótkie wyznanie starczy za całe studjum nad epoką pozytywizmu. Wielce zasłużonej „Gazecie Świątecznej“ składamy życzenia dalszej pracy równie owocnej w zmienionych warunkach, wymagających przyśpieszonego podążania za rozwojem duchowym ludu. Bo dziś już nie tylko pisemko kształci chłopa.

SPRAWA BRZESKA

ZNANY publicysta i socjolog K. L. Koniński zamieścił w „Głosie Narodu“, pod tytułem „Motywy myślowe oburzenia“ następujące uwagi:

Wprawdzie kwestja brzeska jest bardzo prosta — (został popełniony gwałt i ten gwałt ma być ukarany) — ale mimo to już w ocenianiu jej ukazały się pewne odcienie myślowe, zasługujące na uwagę. Zasługujące na uwagę dlatego, że: otrzymać zadośćuczynienie za Brześć będzie, jak wiadomo, rzeczą niełatwą. Kwestja brzeska będzie musiała być wolą jednej części społeczeństwa utrzymana długi czas na powierzchni świadomości społecznej — wbrew oporom nietylko zainteresowanych w zlikwidowaniu jej, lecz i uniżonej, wygodnej opinji publicznej. Kwestja brzeska będzie więc musiała obrastać w myśl, tak, ażeby pozostać świeżą i znaczącą — znaczącą coś więcej, niż konkretny fakt, który się znudzi przeciętnemu czytelnikowi gazet — będzie musiała nabrać sensu walki pewnych myśli z pewnym systemem; należyte, sprawiedliwe jej załatwienie będzie musiało otwierać przed szeroką opinją jakieś nowe, ogólniejsze, pożądane perspektywy. Bez takiego napięcia myślowego nie dotrzyma napięcie woli — wszystko wsiąknie jak w bibułę, w dobroduszne zapomnienie rodzimego wygodnictwa.

Dostrzegam w kampanji brzeskiej następujące akcenty: oburzamy się:

1) na złamane prawa — jednak naogół, niedość wydatnie, co zresztą stoi w łączności z faktem, że wyrazy oburzenia przyszły spóźnione, nie wtedy, kiedy sam fakt więzienia domagał się już tego;

2) na sadyzm, będący dodatkowem podkreśleniem bezprawia, — na obrażenie godności ludzkiej.

3) Tu wskażę na piękny artykuł Z. Wasilewskiego w „Myśli Narodowej“ (nr. 52); powiada on tam, że są ludzie, którzy „nie zastanawiają się nad tem, co to jest ból znieważonej godności ludzkiej. To miejsce, które tak boli, jest to miejsce w człowieku święte. Człowiek tędy widocznie wyrasta na ludzi“. Wasilewski otwiera metafizyczną perspektywę na ten konkretny wypadek gwałtu.

4) Historjozoficzne pogłębienie sprawy znalazłem u St. Szpotańskiego, który podniósł, jak trudną rzeczą, jak misterną są obyczaje cywilizowane i jak twardo wobec tego trzeba stać na ich straży.

5) Boli nas poniżenie honoru oficerskiego. Chcemy kochać mundur W. P. i nie chcemy na tych, co go noszą, patrzeć z niedowierzaniem, jako na możliwych oprawców. Ten moment został w ostatnich dniach urozmaicony przyczynkiem myślowym J. Rembielińskiego (w nr. 1 „Myśli Narodowej“ z b. r.), domagającym się rozpatrzenia.

K. L. KONIŃSKI

„MUSIMY BUDOWAĆ TWIERDZE W SERCACH OBYWATELI“

W DNIU 19 października br. p Minister W.R. i O. P. dr. Sławomir Czerwiński z okazji obchodzonej w tym dniu przez sfery oficjalne rocznicy zwycięskiego odparcia bolszewików, wygłosił w Polskiem Radjo przemówienie do nauczycielstwa, przedrukowane potem przez niektóre czasopisma [1]). Ponieważ mówca u samego wstępu zaznaczył, iż „nie chce mówić jako przełożony, wydający polecenia i rozkazy, tylko jako jeden z żołnierzy tej armji...“, ponieważ nadto inwokacją „Koledzy i Koleżanki“ upoważnił, jeśli nie do poufałej serdeczności, to przynajmniej do szczerości, tak niestety rzadkiej w dzisiejszych czasach, przeto może nie weźmie za złe innemu z żołnierzy tej samej armji, która „przyszłość Polski w duszach jej młodych pokoleń kształtuje”, że jawnie podzieli się wątpliwościami i niepokojem, jaki przemowa ta wywołała w jego sercu a może i nie tylko jego, lecz i innych, których rytm może odmienny a stale i nieodmiennie nastrojony dla Ojczyzny Wielkiej, Mocarstwowej.

Bardzo pięknie i trafnie powiedział Pan Minister, iż „do wielu, bardzo wielu działów pracy naszej potrzebny jest nie tyle rozkaz, ile trafność głosu sumienia pedagogicznego”. *Mutatis mutandis* dotyczy to też nietylko sztuki wychowywania, lecz i rządzenia. A czy nie wkradł się do tak pięknie i rozumnie zatytułowanego przemówienia jakiś ton fałszywy, może z powodu, iż „szczery zapał żołnierza” wybranej brygady przesłonił chłodny i trzeźwy osąd niezbędny przecie dla każdego, choćby podkomendnego dowódcy? Sam mówca przyznaje się do uczucia „buntu i gniewu”, z których pierwsze bezwarunkowo nie przystoi osobie rządzącej. Pomijam brak tego nastroju dumy zasłużonej i trjumfu, jakie w dniu zwycięstwa winny brzmieć we wszystkich uroczystościach, a wysunięcie na czoło momentów polemicznych i to w sprawie, której chyba nikt poważnie nie zwalcza (wychowanie państwowe). Chcę się zająć drugą częścią przemówienia, wobec której bledną wstępy i dodatki, która ma być wskazaniem, co jest główną, a zdaje się jedyną, bronią w tych „twierdzach”.

Chodzi „o właściwy stosunek wychowawców i młodzieży do postaci i czynów Józefa Piłsudskiego”, w którego osobie, zdaniem mówcy „zbiegło się i spersonifikowało to wszystko, co było dawniej dążeniem do niepodległości, a co jest dzisiaj pracą i walką o utrwalenie i pomnożenie siły odzyskanego Państwa”. A oto uzasadnienie i „pozycje najcenniejsze” dla wychowania obywatelskiego „zwłaszcza w Polsce odrodzonej”, których 5 wyszukał mówca: „dawniejszy Jego bój podziemny z caratem i ratujący honor narodu czyn legjonowy i krwawy trud pierwszych dwóch lat niepodległości i uderzenie majowe i obecne wzięcie bezpośredniego udziału w walce o naprawę ustroju i wydanie przez to swej osoby na jad i błoto nienawiści zaślepieńców partyjnych“. Poza trudami i wysiłkami związanemi z imieniem Piłsudskiego mówca widzi tylko zło. Z tej „strasznej ewangelji“ wybiera znów 5 pozycyj, które zestawia w formie pytań, czy one mają być „wzorem, przykładem i nauką dla młodych obywateli: „pokorna czołobitność wobec zaborców, hasło niewolniczej bierności w dziejowej godzinie wojny ludów, morderstwo pierwszego Prezydenta odzyskanej Rzeczypospolitej, gorliwość pracy sejmowej, obalającej każdy rząd, zanim ten przystąpił do systematycznej pracy, pchanie państwa do bezsiły i anarchji w imię szczytnych haseł obrony parlamentaryzmu i demokracji”.

Potrafilibyśmy niestety podać szereg znacznie dłuższy: okłamywanie narodu wymysłem rządu narodowego w chwili wybuchu wielkiej wojny, sfingowane zwycięstwo pod Miechowem, barbarzyństwa w Bolesławiu, rozbrojenie w Lublinie odsieczy dla Lwowa, umizgi wobec Niemców, intrygi na kongresie wersalskim, pomysły federacyjne przy równoczesnej obojętności wobec Bałtyku i Pomorza, „piłowanie“ Państwa, gdy rząd się komuś nie podobał (od r. 1922), ofiarowanie „szabel oficerskich“ osobie nie Ojczyźnie, — walki bratobójcze, więzienie bez sądu zasłużonych generałów (może rywali?), a nawet tajemnicze „znikanie“, bezkarne napady na bezbronnych, — luzy, nieusprawiedliwione przekroczenia budżetowe i wydatki skreślane przez Izbę kontroli, — wyjazdy do Biarritz, — „kupna“ i „zamiany“ działek wojskowych i resztówek — rugi fachowców niewygodnych — forytowanie „mniejszości nar.“ i rozzuchwalanie prowodyrów, a potem... ekspedycje karne i zamykanie gimnazjów, lżenie Narodu w wywiadach, — poniżanie władz ustawodawczych i t. d. i t. d. — litanja znacznie dłuższa, niż przytoczona przez P. Ministra... A kto za to wszystko weźmie odpowiedzialność? Lecz rozpatrzmy krytycznie przykłady podane przez Pana Ministra. Grzechy i zbrodnie niewątpliwie. Lecz czy nie widział Pan Minister kogoś mu bliskiego, stojącego na baczność przed Fryderykiem Wieszatielem? A zapewne chyba czytał o „walce rekruta polskiego”, o poświęceniu bajończyków, o korpusie wschodnim. Zbrodnią było zabójstwo Prezydenta Narutowicza, ale czy ten marzyciel, strzelający do „symbolu“, nie poniósł kary, o którą sam prosił? Czy innych zabójców politycznych dosięgła zawsze surowa ręka sprawiedliwości?

Podnosi P. Minister obalanie rządu, nawet nim ten przystąpił do pracy. Ale kto kopnął rząd Ponikowskiego, kto obalał wszystkie rządy koalicyjne, czy sejm czy inna ręka?

Bezsiła i anarchja w imię parlamentaryzmu i demokracji, a czy z przeciwnej strony nie można

---

[1]) Oficjalny organ Ministerstwa „Oświata i Wychowanie“ wbrew dotychczasowym zwyczajom nie podał rzeczonego przemówienia, ani nawet w kronice nie dał wzmianki. Opieramy się więc na źródłach prywatnych.

zarzucić bezsiły na zewnątrz, a prywaty i zgnilizny wewnątrz w imię hasła „sanacji moralnej"? A czyż ordynacji wyborczej, która stała się pierwszym zaczynem tego zła nie stworzył na rozkaz kapitan „postawiony na baczność"?

Lecz dość tego negatywu, szukajmy pozytywnych ideałów wychowawczych, na których miałoby się oprzeć wychowanie młodych pokoleń. Czy przykłady wybrane przez mówcę stanowią rzeczywiście te „najpiękniejsze i najcenniejsze walory wychowawcze"?

Czy bój podziemny z caratem, który caratu nie zwalił, lecz doprowadził do walk bratobójczych i wyrodził się wreszcie w bandytyzm, jest czemś rzeczywiście wychowawczem w Polsce niepodległej, praworządnej?

„Czyn legjonowy"? Historja kiedyś się wypowie, czy przyniósł on więcej pożytku, czy szkody w odbudowie Polski nie tylko niepodległej, lecz i zjednoczonej.

Niewątpliwie zawsze ze czcią i entuzjazmem będziemy mówili o „krwawym trudzie", ale w nim piękniejszą kartę stanowi obrona Lwowa i „cud Wisły", niż buńczuczna w początkach, a smutna na końcu wyprawa kijowska. A już bitwa nad Niemnem, to temat dyskusyj, jak i problem, czyje plany były wartościowsze.

O „uderzeniu majowem" lepiej nie mówić nigdzie, wszak ocenił je najlepiej wierny druh Komendanta, generał Sosnkowski.

„Walka o naprawę ustroju"? To chyba nadzieje przyszłości, boć chyba sam mówca nie nazwie tem mianem odraczania i zamykania sejmu, gdy ten zabierał się do pracy pozytywnej.

Czy nie właściwiej poszukać innych, bezspornych przykładów, jeśli się nie chce „dopuścić, aby pod maską bezpartyjności i apolityczności szkoły kradziono nam najpiękniejsze i najcenniejsze walory wychowawcze, niosące prawdę historyczną".

Oto kilka z dziedziny pracy pokojowej i krwawych walk orężnych doby ostatniej. Strajk szkolny i Września w zaborze pruskim, budowa szkolnictwa w Królestwie, prace parlamentarne w Berlinie, Petersburgu i Wiedniu, działalność Towarzystwa Szkoły Ludowej (niestety marnowana w dobie dzisiejszej w znacznym stopniu na wschodzie) pod Austrjakiem, a Macierzy szkolnej pod Moskalem, spółdzielnie i kasy Stefczyka, przemysł Królestwa i eksport jego na wschód, tajna praca oświatowa pod prusakiem, która doprowadziła do legendarnego wozu Drzymały i odrodzenia narodowego Śląska — to parę przykładów pracy przed wojną, może mniej głośnych, ale z pewnością nie mniej doniosłych, jak napady na ambulanse pocztowe.

A w czasie wojny bohaterstwo bajończyków na froncie zachodnim, Rarańcza i Kaniów, walki na Białej Rusi, — oraz nie orężna ale jakże skuteczna praca ratownicza Komitetu biskupiego (K. B. K.) w Krakowie, czy Sienkiewicza w Vevey, — olbrzymi, a tak skuteczny trud polityczny Dmowskiego i Paderewskiego, któremu zawdzięczamy i postawienie sprawy polskiej przez Wilsona na gruncie międzynarodowym we właściwy sposób, i sformowanie samodzielnej armji polskiej pod Hallerem, i wreszcie udział w konferencjach wersalskich pośród państw zwycięskich.

A w początkach istnienia wolnej Polski bohaterstwo „orląt lwowskich", którym w najkrytyczniejszej chwili pospieszy z odsieczą nie Warszawa lecz Poznań, choć sam zmagał się z odwiecznym wrogiem, wyrzucenie Prusaków z Wielkopolski, powstanie śląskie, tragedja plebiscytowa na Mazurach, reorganizacja wojska i stworzenie armji ochotniczej w dniach klęski i upadku 1920. Następnie już w czasie pokoju inkorporacja „Litwy Środkowej", zahamowanie inflacji i uporządkowanie skarbu, rozwój pocztowej Kasy Oszczędności, stworzenie Uniwersytetu w Poznaniu ofiarnością miejscowego społeczeństwa, organizacja szkolnictwa polskiego na wschodzie, w obronie którego padł nieustraszony kurator lwowski S. Sobiński, uzdrowienie kolejnictwa, trwałe oparcie się o morze i budowa Gdyni z jej urządzeniami, konkordat z Watykanem, sojusze polityczne, praca naukowa od dawna ceniona za granicą i sukcesy artystyczne, nawet sportowe.

A jeśli chodzi o naprawę ustroju i moralności publicznej, to może wystarczy przypomnieć prace Klubu Narodowego, niestety udaremniane, przypomnieć mężne wystąpienie posła W. Trąmpczyńskiego, choć przez to wydał swą osobę nie tylko „na jad i błoto nienawiści zaślepieńców partyjnych", lecz narażał całość swego zdrowia, może i życia.

Przytoczyliśmy szereg faktów i przykładów, których wartości wychowawczej chyba ani Pan Minister, ani nikt zaprzeczyć nie może. Śmiemy twierdzić, że kompletniejszy i mniej sporny, niż podany przez Pana Ministra. Nie wertowaliśmy kronik, fachowiec podałby ich więcej. Ile w tem udziału obozu ideowego Pana Ministra, — to rzecz inna...

Pan Minister powiada tym, „którym w szkole trudno jest wymówić nazwisko Piłsudskiego, niech z dziejów zdobycia i dotychczasowego istnienia naszej niepodległości wyprują i usuną pasmo zdarzeń, trudów i wysiłków, związane z imieniem Piłsudskiego, i z reszty, która pozostanie, niech sprobują wybrać materjał szlachetny, aby służył za wzór, przykład i naukę dla młodych obywateli odrodzonej Polski". Nie obwiamy się tego, może trudniejsze byłoby odwrotne zadanie, bez fabrykowania legend, podawanych za historję. Wychowanie powinno oprzeć się na pełnej prawdzie, wtedy będzie rzetelne i trwałe. Obałamucić można chwilowo i zasuggerować bezkrytyczne masy, ale tem boleśniejsze rozczarowanie; już starożytny Rzym mienił nieraz bogami cezarów, by ich potem tem bardziej pogrążyć.

Obóz narodowy nie fabrykuje legend, nie obawia się więc prawdy historycznej. Z całem przekonaniem, choć w innem rozumieniu pisze się na apel P. Ministra Czerwińskiego: „nie obawiajmy się tej prawdy i otwórzmy serca młodzieży dla wszystkiego tego, co w naszych dziejach współczesnych jest piękne, ofiarne i mocne".

I. GRYF

NAUKA I LITERATURA

ZE ŚWIATA LITERACKIEGO

Protest przeciwko zbrodni znęcania się nad więźniami politycznymi w Brześciu ogłosiło dotąd 114 literatów polskich. Brak jeszcze (13.I) wielu nazwisk ze Lwowa, z Poznania, z Wilna i ze Śląska. W liczbie tej niema również publicystów i dziennikarzy. Powolność ruchu protestacyjnego tłumaczy się tem, że literaci nie są zorganizowani. Z głośniejszych nazwisk z pośród beletrystów, którzy zgłosili swój protest, wymienimy: Bartkiewicz Zygmunt, Bandrowski Jerzy, Berent Wacław, Bunikiewicz Witold, Dąbrowska Marja, Dębicki Zdz., Filochowski Wacław, Gałuszka J. A., German Jul., Makuszyński Kornel, Miłaszewscy Wanda i Stanisław, Nałkow-

ska Zofja, Nowaczyński Adolf, Obertyńska Beata, Ossendowski Ferd., Pawlikowski Michał, Rodziewiczówna Marja, Rostworowski K. H., Ruffer Józef, Grzymała-Siedlecki Adam, Żuk-Skarszewski Tadeusz, Staff Leopold, Strug Andrzej, Słonczyńska Anna, Święcicki J. A., Świętochowski Al., Szaniawski Jerzy, Wierzyński Kaz., Wiktor Jan, Weyssenhoff Józef, Witkiewicz St. I., Boy-Żeleński Tadeusz i inni.

*

Marja Rodziewiczówna wykończa obecnie nową powieść p. t. „Gniazdo białozora". Piękny, poetycki prolog do tego nowego dzieła znakomitej autorki „Dewajtisa" drukujemy w zeszycie bieżącym.

RUCH WYDAWNICZY

Pod każdym względem ciekawa jest broszurka Kazimiery Zawistowiczówny p. t. „Sagi estońskie", prześlicznie ilustrowana przez Janinę Rosen (nakł. Krakowskiej Spółki Wydawniczej). Autorka sięgnęła w dziedzinę zgoła nieznaną ogółowi Polaków, którzy o narodzie estońskim zwykle słabe mają pojęcie, nawet niekiedy niebardzo się orjentują, do jakiej grupy etnicznej naród ten należy. Może nawet nie należy się temu dziwić, zważywszy, że państwo estońskie jest tak niewielkie i od tak niedawna cieszy się bytem niezależnym, wyzwoliwszy się nakoniec od przygniatającej lud ten politycznej i kulturalnej presji najpierw ze strony Niemców, następnie Rosji. Wyzwolenie to zawdzięczają Estończycy silnemu konserwatyzmowi zarówno swej rasy jak i tradycji. Dzięki niemu przetrwały po dziś dzień piękne zabytki literackie estońskie, biorące swój początek niekiedy z wieków średnich. Starodawne ich podłoże jest pogańskie i łączy się z ogólnemi przekazaniami religijnemi (szamanizm), a niekiedy i historycznemi ludów ugrofińskich (Finowie, Ostjacy, a nawet i Węgrzy). Z fińską „Kalewalą" mają sagi estońskie niewątpliwie wiele wspólnego. Główną postacią tych podań jest zazwyczaj władca wszechświata, Wanaisa, oraz śpiewak-wróżbiarz Wanermine; zwłaszcza podania o drugim z nich są wysoce poetyczne. Autorka cytuje parę urywków pieśni o nim w swoim własnym przekładzie. Wielce ciekawa jest baśń o stworzeniu kreta, niedźwiedzia i raka, dziwnie przypominająca bajkę Kiplinga o psotnym krabie. Ciekawe jest też podanie o narodzinach narodów: Łotyszów, Rosjan i Niemców, gdzie spotyka się i przedrzeźnianie znienawidzonej niemieckiej mowy: *Deutsch—peitsch! Deutsch — peitsch!* (J. B.)

*

Ukazało się dzieło prof. Dr. Eugenjusza Piaseckiego: „Zarys teorji wychowania fizycznego". Lwów 1931. Str. XVI + 390. Rycin 66. Nakł. Zakładu Nar. Ossolińskich. Prof. Piasecki jest jedynym u nas profesorem teorji wychowania fizycznego; mając za sobą trzydziestolecie zgórą pracy i doświadczenia naukowego i dydaktycznego, daje nam tu wszystko, co musi zawierać podręcznik naukowy w tym zakresie.

Książka przeznaczona jest dla kierowników wychowania fizycznego — specjalistów, dla lekarzy szkolnych i sportowych, nadto dla studentów wychowania fizycznego w Uniwersytecie poznańskim i krakowskim, jakoteż dla słuchaczy Centralnego Instytutu Wychowania Fizycznego na Bielanach pod Warszawą. Polska jest krajem trzecim w Europie (po Belgji i Danji), gdy szło o postawienie tego działu nauki stosowanej na terenie uniwersyteckim, narówni z medycyną i pedagogiką intelektualną.

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Manuel Gálvez, jeden z najwybitniejszych pisarzy argentyńskich, autor szeregu powieści, książek z dziedziny krytyki, socjologji i estetyki, oraz utworów dramatycznych, ogłosił drukiem nową powieść zatytułowaną: *„Miercoles Santo"* (Wielka Środa), w której przy pomocy niezmiernie interesujących środków artystycznych daje czytelnikowi wyraziście namalowany obraz duchowy świątobliwego kapłana, oddanego całkowicie służbie konfesjonału. Bohater powieści, znawca dusz ludzkich i jednocześnie zdolny ich lekarz, słuchając nieustannie najbardziej tajemniczych wyznań, sięga pamięcią czasów swojej młodości i przeżywa szczególniejszego rodzaju udręki duchowe. Autor wskazuje w powieści na wielkość ofiary moralnej i materjalnej tych, którzy pozostają w szeregach bojowników bożych. (F. B.)

SZTUKI PLASTYCZNE

SPÓR O FOTOGRAFIKĘ[1])

(Dokończenie)

W SPORZE naszym, czysto naukowym, zmuszono mnie do zajęcia drogiego czasu i miejsca na szkic, w poprzednim zeszycie ogłoszony, gdzie wykazuję i usuwam niedokładności i błędy, które przeciwnik mój popełnił głównie w cytowaniu moich słów, a zatem—i w ocenie mojego stanowiska. Dlaczego musiałem to uczynić? Dlatego, że p. Bułhak w polemice swej, zająwszy się nie tyle sprawą, ile moją osobą, podał negatyw moich poglądów tak zniekształcony, że nietylko ja wyglądam na nim w postaci osobnika o niskim stopniu umysłowości i rycerskości, ale i sam przedmiot sporu otrzymał tony, z istotą rzeczy niezgodne. Oto przyczyna, dla której musiałem negatyw mojego przeciwnika poddać (mówiąc fotograficznie) wywoływaniu przewlekłemu. Proszę mi więc wybaczyć tę z ubiegłego tygodnia „uporczywość" w stosowaniu logicznych glicyno-bromko-potasowych zabiegów. Zwyczaj to przecie powszechny i słuszny, że w rozmowie każda ze stron kilkakrotnie głos zabiera, aby sprawę rozjaśnić. Nie lękajmy się światła.

Spór nasz o to, czy fotografika jest sztuką, czy nie jest, leży całkowicie w granicach filozofji sztuki. Skoro artysta-fotograf wstąpił w polemice swej na ten teren, przyjmuję lojalnie, że zna się na nim nie gorzej, niż na fotografice. Sąd mój o tem, że polemika mojego przeciwnika jest dyletancka, dotyczy tylko samej jego polemiki, pełnej błędów, które naprzód pousuwać musiałem. Pomimo jednak tej mojej lojalności, widzę, że nie można tu w dalszym ciągu używać mowy naukowej, t. j. zdań zwartych, terminów technicznych i określeń syntetycznych. Nie można, albowiem spór niniejszy stwierdził doświadczalnie, że język naukowy pozostaje przez wielu niezrozumiany, jakby nie docierał do uszu, lub na progu świadomości zamierał. Muszę przeto przedsięwziąć wykład szkolny, popularny i poglądowy, a zatem z konieczności rozwlekły. Proszę więc raz jeszcze wybaczyć mi „uporczywość", gdy w formie do okoliczności dostosowanej powtarzać będę to, co już w zeszycie 41 „M. N." w szkicu p. t.: „Fotografika" w zwartej formie powiedziałem.

Przedmiot naszego sporu wymaga porównywań fotografiki ze sztuką wogóle, albo z którąkolwiek ze sztuk poszczególnych. Z natury rzeczy wynika, że najbliższe dla tych porównywań jest malarstwo, ponieważ fotografika, tak samo jak sztuka malarska, rozwija się: 1° w dwóch wymiarach, czyli na płaszczyźnie, 2° wytwarza obrazy światłocieniowe (wielo — lub jednobarwne), oraz 3° nie posiada linji rysowniczej, bez której i malarstwo obywać się może. Z tych powodów dla skrócenia wykładu ograniczymy się do porównywań fotografiki z malarstwem, co nie umniejszy porównawczej wartości wniosków w zastosowaniu ich do sztuki wogóle, albo do którejkolwiek ze sztuk poszczególnych.

Zauważmy naprzód, że, w przeciwieństwie do wszystkich sztuk, fotografika ma bardzo ubogi zakres działania, zacieśniony, mianowicie, tylko do kopjowania tego, co w danej chwili w przyrodzie (w świecie) jest fizycznie obecne. Głównem (i liczebnie i duchowo) bogactwem każdej sztuki jest jej olbrzymia skala możliwości twórczych, całkowicie niezależnych od tego, czy przedmiot jej dzieł znajduje się w tej chwili na świecie, czy go niema, a nawet czy wogóle istniał kiedykolwiek, czy nie istniał, czy może istnieć, czy wogóle istnieć nie może. Niech czytelnik z łaski swej rozważy pod tym kątem widzenia wszystkie dzieła muzyki, malarstwa, architektury, poezji, dramaturgji, aktorstwa, tancerstwa, rzeźbiarstwa, rysownictwa. Ogromna większość tych

[1]) Na poniższym artykule kończymy polemikę w sprawie fotografiki. — Przyp. Red.

dzieł nie posiada wcale odpowiedników lub wzorów w zjawiskach i przedmiotach świata fizycznego. Obraca się w fantastycznym świecie ducha ludzkiego. Wszystkie zaś bez wyjątku dzieła sztuk nie zależą od tego, czy w danej chwili ich przedmiot znajduje się na świecie, czy go niema, czy można go skopjować *in flagranti*, czy nie można.

Ograniczając się w imiennych przykładach poglądowych do malarstwa, wskażmy i rozważmy dziedzinę, której przedstawicielami są wśród mnóstwa innych takie obrazy, jak fantazje i symbole Jacka Malczewskiego, Böcklina, Wojtkiewicza, Goy'i, Czurlanisa, Ropsa, Podkowińskiego, Stryjeńskiej, Bilibina, Rackhama, Michała Anioła i t. d., setki witrażów, fresków, mozaik, setki scen religijnych, setki t. zw. historycznych, batalistycznych, rodzajowych, setki dzieł ornamentacyjnych—i tak dalej. Gdy to wszystko zestawimy, obliczymy, rozważymy, wtedy zrozumiemy, że dzieła, które bezpośrednio kopjują przedmioty, w świecie w danej chwili fizycznie istniejące, stanowią w malarstwie zaledwie mały odsetek. Są to: portrety, wnętrza (nie wszystkie), krajobrazy (nie wszystkie), t. zw. martwe natury, studja i kwiaty. (Do krajobrazów wliczam widoki architektury i miast).

Otóż przy porównywaniu fotografiki z malarstwem musimy przedewszystkiem zacieśnić pole porównań do tego małego odsetka dzieł malarskich, bo fotografika może tylko kopjować, i tylko to kopjować, co w danej chwili w świecie fizycznym znaleźć może. A wtedy, już w obecnym stanie naszych rozważań, możemy zapytać, czy może być sztuką praca fotograficzna, która z założenia swego i w stopniu tak wielkim wbrew wszystkim sztukom, pozbawiona jest twórczości duchowej, możności objawienia się wyobraźni, fantazji, woli, uczuciowości, wiedzy i myśli ludzkiej? Czy może być sztuką czynność pozornie artystyczna, przed którą raz na zawsze zamknięta jest cała przeszłość i przyszłość świata widzialnego? Czynność ograniczona do kopjowania bieżącej chwili przedmiotów i zjawisk fizycznych, a i tu — tylko małej ich ilości?

Przypuśćmy jednak i przyjmijmy na chwilę, że fotografika, chociaż ma zakres bardzo ubogi, to jednak w tym właśnie zakresie maleńkim jest sztuką:— ubożuchną niebogą, ale sztuką. Czy takie przypuszczenie wytrzyma sprawdziany rozumowe i doświadczalne? Zaraz się przekonamy.

Każdy artysta wogóle, a w szczególności każdy artysta-malarz, kopjujący bezpośrednio przedmioty i zjawiska świata, nie te przedmioty i zjawiska kopjuje, ale swoje, od nich otrzymane, wrażenia i wyobrażenia, do których, nadomiar, zawsze przesiąkają wzruszenia artysty. Jest to prawda, znana powszechnie, udowodniona i ustalona przez psychologję, prawda, która wchodzi do większości definicyj sztuki, jako ich część podstawowa. Wyrażamy ją zwykle w skróci', że artysta w dziele sztuki wyraża ducha swego (lub duszę). Na tę również prawdę godzi się w polemice swej p. Bułhak, mówiąc w te słowa: „badać i krytykować należy nie... materjalną, techniczną drogę wykonawczą, tylkc—natężenie i skalę, w jakiej odzwierciadla się w tem wykonaniu osobowość, psychika, kultura i talent, słowem — duchowość człowieka". Słowa p. Bułhaka znakomicie skracają mi mój wykład: nie mam potrzeby udowadniać przykładami tego, co sam przeciwnik mój z takim naciskiem wyraził.

Tę właśnie „duchowość człowieka", swoją duchowość wyraża w swojem dziele każdy artysta, więc i artysta-malarz nawet wtedy, gdy bezpośrednio kopjuje przyrodę i nawet wtedy, gdy chce ją kopjować jaknajwierniej, jaknajobjektywniej. Zapytajmy tedy, jakim to sposobem w dziele sztuki wyraża się duchowość jego twórcy?.. i pod jakim nieodzownym warunkiem? Odpowiedź prosta: pod warunkiem, że twórca wykona dzieło osobiście — tak w całości, jak w najmniejszym jego szczególe (czy to w ostatecznej dzieła postaci, czy też w postaci wzoru). Warunek ten jest właśnie owym „warunkiem fizycznym, przedwstępnym, najprostszym, tak prostym, że o nim się nie mówi", — jak to w Nr. 47 „M. N." wyraźnie powiedziałem. W zastosowaniu do malarstwa warunek ten (w tym samym zeszycie „M. N.") wyraziłem w słowach, że o ile obraz ma być zaliczony do dzieł sztuki, to naprzód „na całej powierzchni swej, w najmniejszej plamce i kresce, w każdym centymetrze kwadratowym musi on być (w oryginale) przez człowieka wykonany". Ten sam warunek stawiają liczni estetolodzy, a wśród nich Ig. Matuszewski, na którego definicję p. W. Frantz się powoływał.

Warunku tego p. Bułhak nie odrzuca wręcz, ale go tak schował i zmącił, że jeszcze go do swoich figlików słownych użył, przeciw osobie mojej skierowanych. Mianowicie, przeciwnik mój popełnił ten błąd rażący, że pendzel i malarską kasetę (z farbami) uznał za przyrządy analogiczne do aparatu fotograficznego. Inaczej mówiąc, domyślnie wyraził pogląd, że fotograf w ten sam sposób bezpośrednio maluje obraz swój aparatem, jak malarz — pendzlem. Otóż tutaj zawiązany jest ostatni węzeł naszego sporu, węzeł milczeniem przez obu moich przeciwników pomijany, albo ubocznemi sztuczkami logicznemi wikłany i plątany. Rozsupłajmy go i rozwiążmy.

O kasecie nie mówmy, bo to już jest zanadto grube porównanie. Farby można nosić w kieszeni, paletę i pendzle— w ręku, podczas gdy fotograf pozbawiony aparatu, przestaje być fotografem. Co zaś do pendzla, to czy można go nastawić razem z farbami tak, żeby sam się poruszał i sam malował? Przecież najmniejsze poruszenie pendzla, najdrobniejsza ilość tej czy innej farby, na pendzel wziętej, są całkowicie zależne od poruszenia ręki malarza i nierozerwalnie związane z każdem spojrzeniem jego oka, z każdem drgnięciem jego duszy i woli. Czy coś podobnego dzieje się pomiędzy aparatem a fotografem? Aparat fotograficzny raz nastawiony maluje sam, bez współudziału fotografa. Co więcej— współudział ten podczas pracy aparatu jest niemożliwy. Całą pracę podstawową w fotografji wykonywa samodzielnie aparat fotograficzny—to znaczy dziewięć dziesiątych dzieła należy do aparatu, a tylko jedna dziesiąta (w postaci poprawek na negatywie i pozytywie) — do fotografa.

Z powyższego jasno wynika, że od świata zjawisk i przedmiotów fotograf oddzielony jest aparatem samowidzącym i samomalującym. Z tego również jasno wynika, że fotografika nie spełnia i nie może spełniać zasadniczego, fizycznego, przedwstępnego warunku sztuki, to jest — osobistego przez twórcę wykonania dzieła „w każdym jego centymetrze kwadratowym, w najmniejszej plamce i kresce". A wniosek stąd ostateczny stanowi, że fotografika nie jest sztuką.

Cały ten, rozstrzygający sprawę, węzeł przeciwnik mój przeskoczył na trampolinie drwin. I popełnił przytem dwa nowe błędy logiczne. Popierwsze: z twierdzenia mojego, że fizycznym warunkiem sztuki malarskiej jest osobiste przez twórcę wykonanie dzieła, wyprowadził wniosek, że w takim razie malarz szyldów jest artystą, a jego „pendzlowanie posiada wysokie dostojeństwo artyzmu". Jest to wybieg, znany w logice pod nazwą „rozszerzenie", przyczem przeciwnik mój pominął milczeniem drugi, współrzędny warunek duchowy sztuki, który wyraźnie tuż obok pierwszego wymieniłem. Właśnie praca biednego szyldziarza nie posiada tego drugiego warunku — duchowego. Rozszerzenie to można jeszcze dalej rozszerzyć, że oto w takim razie piekarz jest artystą, a jego bochen chleba posiada wysokie dostojeństwo artyzmu, bowiem i tu osobiste wykonanie dzieła jest konieczne.

Drugi w tem miejscu błąd logiczny polega na tem, że przeciwnik mój nagle przesunął tu spór na inną dziedzinę, a wniosek zastosował do dziedziny, o której wyłącznie w naszym sporze mówimy. Mianowicie p. Bułhak mówi: „W sztuce badać i krytykować należy nie środki, tylko — osiągnięcie". Słusznie. Ale w naszym sporze nie chodzi o badanie i krytykowanie dzieł sztuki, lecz jedynie o to, jakie uprzednie warunki są konieczne, aby dany dział pracy zaliczyć do sztuki, a nie do nauki lub techniki. To są dwie

sprawy całkowicie różne. W pierwszym wypadku obracamy się wewnątrz danej dziedziny, którą za sztukę uznajemy i wtedy oceniamy jej dzieła z punktu widzenia artystycznego, zaś w drugim wypadku ustawiamy się nazewnątrz całej tej dziedziny i pytamy, czy ona jest sztuką czy nie jest, co już należy do naukowych zagadnień estetologji. Przeciwnik mój pomieszał jedno z drugiem, a w dodatku z obu własnych, powyżej wykazanych, błędów wyprowadził liczne złośliwości, które jednak siłą rodowodu swego zwracają się przeciwko niemu. Do prowadzenia sporu konieczna jest umiejętność myślenia.

Dlaczego w sztuce nieodzowne jest osobiste przez twórcę wykonanie dzieła? Dlatego, że duch ludzki nie ma innej drogi do przejawienia się w dziele fizycznem. Każda plamka i kreska na obrazie artysty — malarza jest objawem poszczególnych wibracyj jego wrażeń, wzruszeń i wyobrażeń, zaś w akordach, rytmach i harmonjach tych plam i kresek objawiają się syntezy ducha artysty, a z tych znowu syntez składa się całe jego dzieło w jedną wielką symfonję syntetyczną. I tak w każdej innej sztuce się dzieje przez osobiste tworzenie i układanie dźwięków, słów, brył, gestów i t. d. (zależnie od sztuki). Czy tę osobistą, szczegółową pracę wykonywa, czy może ją wykonywać fotograf? Nie może, bo za niego układa plamki aparat, który, ponadto, robi to analitycznie, bo, jako przyrząd, syntez nie wytwarza. Z tego powodu każda fotografja jest bezduszna. Sam fotograf może być artystą genjalnym, ale nie ma sposobu do objawienia ducha swego w fotografji. Fotografa może ponosić i rozsadzać wyobraźnia, serce, duch, fantazja — jak Don Kichota, ale cóż z tego, gdy dzieło wykonywa sługa jego, Sancho-Pansa — aparat fotograficzny!

O artystycznem udziale samego fotografa przed rozpoczęciem pracy aparatu i potem — na gotowym obrazie aparatu już dwukrotnie pisałem, wskazując wyraźnie zakres tego udziału („wybór przedmiotu, punktu widzenia i oświetlenia, układ przedmiotów i postaci oraz normowanie tonu światłocieniowego“ — Nr. 41 M. N.). Mogę, w razie potrzeby, szczegółowo i obrazowo omówić całą tę pracę fotografa i jej wyniki, czem raz jeszcze udowodnię i z tej strony, że fotografika nie jest i nie może być sztuką. Ale teraz czas już postawić kropkę pod tym wywodem.

Na zakończenie uprzejmie przeciwnikowi mojemu dziękuję za kilka cennych nauk w rodzaju, że trzeba naprzód znać sprawę, a dopiero potem sąd o niej wydawać, a wzamian jako skromny podarek, podaję plan, według którego można obronić tezę, że fotografika jest sztuką. Plan ze stuletnią poręką skuteczności. Mianowicie: 1) Trzeba naprzód udowodnić, że sztuka nie jest czynnością do wyrażania duszy artysty. 2) Gdyby tego pierwszego punktu udowodnić się nie udało, wtedy trzeba udowodnić, że aparat fotograficzny przodem odzwierciadla świat widzialny, a tyłem — duszę fotografa. 3) Gdyby i tego drugiego punktu udowodnić się nie udało, wtedy trzeba cofnąć się na zgóry umocnioną pozycję i udowodnić, że czaszką fotografa jest kamera, jego okiem — wielosoczewkowy objektyw, a duszą — negatyw aparatu fotograficznego.

Można zaręczyć, że dla obrońców fotografiki jako sztuki ten trzeci punkt stanie się ostatnią przed wrogami, ale niezdobytą redutą.

STANISŁAW PIEŃKOWSKI

NA MARGINESIE

T. zw. „uczciwa“ część prasy sanacyjnej gorszy się przesadną nieco — jej zdaniem — reakcją polskiej opinji publicznej z powodu zdarzeń brzeskich. Sprawa brzeska — pisze — aczkolwiek jest niewątpliwie faktem bolesnym i godnym pożałowania, jest jednakże „tylko chwilowym epizodem na drodze, po której prowadzą Polskę...“ i t. d.

„Na drodze“... dokąd? Życie odpowiada aż nazbyt wyraźnie: „chwilowym epizodem na drodze“ do... bezrobocia, nędzy, umowy zapałczanej, układu likwidacyjnego z Niemcami chaosu i bezprawia...

*

Sanacyjny „Kurjer Polski“ donosi (nr. 15):

„Wczoraj w godzinach popołudniowych odbyła się u p. Marszałkowej Piłsudskiej tygodniowa herbatka towarzyska.

W herbatce wzięli udział m. in. p. premjer Walery Sławek, marszałek senatu, p. Władysław Raczkiewicz, przedstawiciele korpusu dyplomatycznego, prezes N. I. K., gen. Krzemieński, generałowie: Konarzewski, Wróblewski i Kruszewski, d-ca K.O.P'u; pułkownikostwo Karczowie, Wieniawa-Długoszewscy, płk. Kostek-Biernacki, płk. Gąsiorowski, oraz szereg innych przedstawicieli świata politycznego i wojskowego“.

Czasem takie drobne zdarzenia z życia towarzyskiego, jak „tygodniowa herbatka“, przechowują się w pamięci narodu przez długie, długie lata. Czasem pozostają nawet nazawsze w historji.

*

Ogłoszono w dziennikach 13 nazwisk wysokiej rangi urzędników ministerjum oświecenia, mających za sobą 15—23 lat służby, których min. Czerwiński przeniósł w stan spoczynku. Wiadomość ta dolewa kroplę goryczy do przepełnionej już czary. Są to bowiem nazwiska wybitnych pracowników, cieszących się w społeczeństwie powszechnem poważaniem i zaufaniem. Motywy rugów, ogłoszone w dzienniku prorządowym, „Gazecie Polskiej“, brzmią:

„Układne przystosowanie się do zarządzeń władz szkolnych nic tu nie znaczy. Młodzież aż nadto dobrze wyczuwa i wie, jakie *credo* wyznaje jej wychowawca... A jednak są ciągle jeszcze i tacy nauczyciele i tacy kierownicy szkół i tacy wyżsi urzędnicy oświatowi. A są dlatego, że potrafili uśpić czujność swego otoczenia, że ustroili się w barwę ochronną, że grają rolę wyznawców ideologji marszałka Piłsudskiego. Ale ta gra nie może trwać długo. Barwę ochronną należy jaknajprędzej zetrzeć z tych ludzi i, odsłoniwszy ich właściwe oblicze, pożegnać się z nimi raz na zawsze...“

Bardziej ironicznego komentarza nie moglibyśmy wymyśleć na tym naszym „marginesie“. 13 posad dla wychowawców marki brzeskiej.

*

Parlament dzisiejszy w Polsce z rządową większością, która za naciśnięciem sprężyny wstaje i siada, jest wynalazkiem, zasługującym na opatentowanie. Do myślenia i wygłaszania mów jest opozycja, większość wydaje tylko głosy nieartykułowane. W „walce“ z parlamentem rząd zawsze wygrywa. Był gdzieś taki oryginał, który lubił grać w karty w t. zw. „durnia“ z sąsiadem, ale gdy zbyt często przegrywał, wypowiedział mu gościnę i grał sam z sobą z kart otwartych. Ciekawa rzecz, ile też wygrał.

*

„Gdyby na czele wielkiej jakiej dzisiejszej armji, do boju idącej, postawił się człowiek niemający pojęcia o wojskowości, — rozpocząć musiałby on przez przybranie nadzwyczajnych oznak i postawy wyłącznej i przekonania, że jest jednym z owych kilku genjuszów, jacy kiedykolwiek na świecie zjawili się. Następnie wódz takowy musiałby się zrobić nieprzystępnym, ażeby owegoż nie zaskoczyło pierwsze lepsze zapytanie, którego nie byłby w możności zaspokoić. Następnie musiałby on każdy rozkaz zamienić na najsurowszy stan oblężenia, obostrzenie, rygor we wszystkiem na miejsce władzy wprowadzając.

Myśl i zapytanie i motywy stałyby się wobec takowego wodza zbrodniami stanu, i naturalnie, że inaczej być by nie mogło. Następnie, hierarchja wokoło wodza tej natury musiałaby się składać z ludzi zręcznych, którzy znając lub domyślając się głównego błędu rzeczy samej, składaliby takowy na podwładnych, nigdy prawdzie nagiej i mocy owej nie ufając. Następnie uczyniłaby się hierarchja wokoło wodza i całe one stopniowanie na tajemnicy wewnętrznego kłamstwa oparte i byłaby ona „TAJEMNICA, MATKA WSZETECZEŃSTW I OBRZYDLIWOŚCI“, o której Apokaliptyk zapowiedział. Następnie wódz takowy władnąłby, popełniając tysiące błędów, na ostatnim krańcu każdego z błędów onych i z onych bezużytecznych krwi rozlewów oświadczając się gotowym do koncesyj... I rzecz sama przez się jest nieuniknienie logiczna, iż takowy wódz skończyłby nareszcie na tem, od czego powinien był rozpocząć, to jest, że skoro na zyskanie osobistego doświadczenia wytraciłby swe wojsko, wyszedłszy na rozsądnego wodza w tejże samej chwili, w której byłby pobity. *Mentita est iniquitas sibi* (nieprawość sama sobie kłamie)“.

Cyprjan Norwid.

(Memorjał o prasie 1863. „Pamiętnik Literacki“ 1929, zeszyt 4.)

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel 612-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. **9**, półrocznie zł. **17**, rocznie zł. **32**, zagranicą kwart. zł. **12**, półroczn. zł. **24**, rocznie zł. **45**.
Konto czekowe na P. K. O. **3.105**.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Tel. 619-57. Zielna 47. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.